



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 1609

FB



log 814

Feldzug von B. II 1934

21. 10. 1934

L. 66/1934

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

NA PROGU

WARSZAWA 1928

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

NA PROGU



1609

leg. 814

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

NA PROGU

WARSZAWA 1928

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

OD AUTORA

Książka ta nie może znaleźć się na półkach literatury pięknej, nie zawiera bowiem tego, co stanowi pierwszy warunek piękna, to jest harmonji pomiędzy treścią a formą. Treść przyniosło tu życie—treść wielką, bohaterską, pełną miłości i poświęcenia, formę zaś dawał autor pośpiesznie w trudnych warunkach boju i marszu.

Książka ta nie może stanąć na półkach literatury pięknej, niema też dla niej miejsca wśród rozważnych i ściśle przemyślanych historyj wojennych.

Życiorysy te, czy też wspomnienia, pisałem między 1914 a 1920 rokiem.

Główną pobudką były tu podziw i miłość (dla towarzyszy broni, oraz żal bezmierny, iż w owoczesnej dezorjentacji Narodu ludzie tak świetni mogliby zejść z tego świata niepostrzeżenie, niezauważeni, nieukochani dostatecznie.

Uważałem, że walka ich i śmierć, to przecie pobudka i wezwanie, i zawołanie, i hasło dla wszystkich, którzy nie wiedzą, co czynić.

Wydawało mi się, że literatura piękna, owa najczulsza i najwierniejsza historja obyczaju naszego, gdy później podejdzie ku tym czasom, mogłaby już tych właśnie ludzi nie zastać w pamięci ogółu takimi, jaki-

mi byli w istocie. Ogół współczesny mało ich znał, niejednokrotnie — obawiał się ich jako widm umarłej, szalonej a bezowocnej przeszłości.

Wydawało mi się też, że historia wojenna nie uwzględni w postaciach poległych tego, czego historia wojenna nie może zaiste uwzględniać, jako opowieść czynu, nie zaś legenda sentymentu.

Sądziłem jednak nadewszystko, iż w owych pierwszych czasach naszych wysiłków zbrojnych należy ówczesnej wstrzeźliwości patryjotycznej jak najwięcej podawać przykładów samoistnego męstwa Polaków. Były to bowiem czasy, w których umieliśmy walczyć i ginąć pod obcemi rozkazami, wzdragaliśmy się natomiast słuchać i walczyć, i umierać pod rozkazem własnym.

Czasy te, zaiste tragiczne, nigdy nie śmia już powrócić — chyba z powierzchni ziemi zniknąłby cały naród polski. Lecz wtedy należało jeszcze prowadzić propagandę własnego musu i rozkazu. Pokolenie dzisiejsze nie zastanawia się już nawet nad podobnemi zagadnieniami! Czternaście lat temu na całym obszarze Rzeczypospolitej nie wolno było wydrukować terminu „żołnierz polski“, a redaktorzy pism naszych termin ów przekreślali nieomal automatycznie.

Z powyższych przyczyn znajdzie czytelnik tu i ówdzie pośród życiorysów, w tej książce zgromadzonych, ton kaznodziejski. Ton ów trąci już dziś może nawet naiwnością. Nie przekreślam jednak tych akcentów. Nie wiele też poprawiłem w ujęciu rzeczy i w składni, i w szyku zdań, które tworzyłem kiedyś w straszliwym rozgwarze wojennej akcji. Sądzę bowiem, że taka sprawa, jak sprawa tej książki, więcej wygrać zdoła na przy-

pomnieniu istotnych warunków rzeczywistości, niż na pełnej ozdobie estetycznej. Sądzę też, że niema tak pięknej ozdoby estetycznej, któraby sprostać zdołała prawdzie — chociażby nawet niedołąźnie opisanego — męstwa.

„Upragnione miejsce tej książki — pisałem w pierwszym wydaniu tych życiorysów — jest w kieszeni munduru polowego, obok kartki na owies, w plecaku, obok manierki i czapki Tego, który może już nigdy nie powróci do domu. Wreszcie na kolanach małego uczniaka, pod ławką, w czasie wykładu historii — o buncie Spartakusa.

Byliśmy wtedy niewolnikami.

Dziś praca nasza płynie ogromnem łożyskiem, tak już wielkiem zaiste, iż nie przystoi o losy poszczególnych wysiłków zabiegać osobliwie. Słowa te piszę więc, nie iżbym osobliwe zabiegi i sentymentalne troski miał na względzie, lecz — by się wspomnieniem męstwa raz jeszcze podzielić z ziomkami.

Faint, illegible text at the top of the page, possibly bleed-through from the reverse side.

Second block of faint, illegible text, also appearing to be bleed-through.

Small, dark ink smudge or mark located in the lower-left quadrant of the page.

Słowy temi przyzywam świadków ku pomocy, abyśmy razem dziś patrzyli w to, co mi się tu odsłania, i abyśmy czuli się wzajem blisko, gdy mówić będziemy o tych sprawach. W okoliczności takiej ważne jest już nie tylko samo słowo i jego ton, i dźwięk, lecz każde poruszenie i nawet tętno krwi, która nas wciąż przepływa, rozjaśniona powietrzem tej ziemi!

Zaprawdę! Wydaje mi się, iż myślę za siebie i za nas, i za tych, którzy przyjdą, gdy już dawno na świecie nas nie stanie. I za tych, którzy dawno temu odeszli. Odeszli z zaufaniem i z nadzieją wieczystą, że zawsze tu, w tym kraju, znajdą godnych siebie następców.

Dlatego właśnie wzywam tu świadków, przyjaciół, pomocników. Wołam ich w przeświadczeniu, iż nie udźwignę jeszcze tej rozprawy. Gdy bowiem w takiej chwili spokoju i rozwagi, i szczęścia w pracy, powracają ku nam ci właśnie, którym szczęście swoje zawdzięczamy -- jakobym widział od pól i z pod lasu, i od drogi, i zewsząd śpieszących ku miejscu naszej pracy tych wszystkich, którym wypadło zginać, byśmy osiągnąć mogli ten oto dach wolności nad głowami i swobodę słowa, i krasę wyrazu, i wszystko, co nas dumnymi czynić może w tem życiu.

Jakobym widział tych wszystkich, którzy swą śmiercią bohaterską zaprowadzili mnie aż na ten próg i przed ten oto warsztat, a ciebie znów gdzie indziej, a tamtego znów ówdzie, i tak nas wszystkich przywiedli wszędzie na miejsca naszej doby pracowitej.

Lecz cóż? Tu oto właśnie ta nasza doba codziennego życia pracowita, wszystkimi korzonkami poczytań tak mocno wrastająca we wszystkie zadania trwałości i budowy, zdaje się niemal przeczyć nagłym wysiłkom ofiary.

Widzimy bowiem wszelaką pracę naszą bez brzegów zawsze i bez końca.

Widzimy życie nasze w stosunku do godziwych zamierzeń — nader krótkie.

Za sobą postrzegamy rozłogi przeszłości, która wcześniej czy później zapada w mroki zapomnienia.

Przed nami zawsze wkońcu wybieży nieprzewidziane, a zatem obce, spełnienie rzeczy przez nas zamierzonych.

W takim więc oto morzu, pośród takich to szumów zmiany nieustannej, jesteśmy mniej zaprawdę, niż choćby płochą znikomością.

Mniej, niż lichą znikomością, w sercu której powstaje znów pytanie, tyle już razy, przez tyle pokoleń, stawiane: Czy warto — ach, czy warto?

Cóż w tym układzie spraw i sił nieskończonych spełnić może nikłe ziarenko piasku, drobina kurzu, cień pyłu — pytamy z nad warsztatu naszej codziennej pracy?

O, cienie, wielkie cienie bohaterstwa, czyż nie zsuwacie się w pustkę nieprzeniknioną? Gdy w tym układzie spraw i rzeczy ziemskich każdy naród bezsil-

nym pozostaje w zakresie ludzkości, a ludzkość mierzy swą drogę dojrzwaniem fatalnem swej gwiazdy, a gwiazdy toczą się straszliwą, samotną przestrzenią, a przestrzeń ta znów innym, nieznanym jeszcze, służy — i tak bez końca, bez żadnego początku, ku formom i ustanowieniom, których myśl nasza przeczuć nawet nie zdoła?

Zdawałoby się więc, że taka oto codzienna doba pracy i rozumnego statku w ujmowaniu tych spraw bezsilnymi nas czynić musi wobec przepływu założeń koniecznych i wieczystych.

Gdy oto jednak rozpręzę ramiona nad moim stołem, a ty nad swym warsztatem ciało rozprostujesz, poznamy chwilą najszczęśliwszego skupienia i namysłu, iż ta sama sprawa fatalnych przemian wszystkiego we wszystkim — drugim jeszcze posiada oblicze.

Czyż bowiem, trawiąc czas nad stosownem ułożeniem tych słów, zasadzie bohaterstwa poświęconych, w tej oto chwili wiosennego dnia — nie pozbawiam się życia?

Czyż za progi doraźnych jego ponęt nie uchodzę — byle tylko udało mi się słowami myśl szukaną dognać?

Czyż nie to samo spełnia każdy, kto pracuje? A wszystko, co powstało wśród nas trwalsze, a co zarazem rozmiar przeżywania rozszerza, przyozdabia, co się najoporniejsze okazuje wobec zalewów czasu — czyż właśnie nie wynika z takich oto małych, większych i największych wyrzeczeń się i ofiar? Gdy zatrzymujemy czas, gdy go przeinaczamy naszym dorobkiem pracy, że staje się — gdyby wolno tak powiedzieć — czasem twórczej świadomości, nie zaś tylko bezwolnego mijania?

Są zatem w życiu naszym jakoby dwa rzędy trwania, dwa czasy różnorakie.

Jeden z nich płynny jest, swobodny, luźny czas wszechświata, i oto drugi, malutki, nasz, ludzki, zmagający się z tamtym — czas woli, samorodny, gromadzący — ach, niechże to wypowiem — gromadzący skarby innego moralnego narastania, który potrafi w dobach pracowitych streszczać lata, a chwilami swemi opromienia stulecia.

To ów czas bohaterów, w obliczu którego wieki są sekundami, to czas twórców, przewyciężający opór wszelkiej materji. Dzięki niemu to właśnie człowiek, małe, bezbronne, jakże śmiertelne stworzenie, w pamięci ojców, synów, wnuków i prawnuków, z rąk do rąk podawanej, żyje tysiące lat.

To ów czas niespożyty, z miłości człowieka powstający, który ostatnią rzecz na ziemi, nieodwołalnie samotną i zamkniętą, który śmierć samą przeradza w życie.

Kto bowiem wyrzekł: — To już raczej śmierć moja! — ten rzekł: Ty, sprawo, jesteś mi droższa, niż życie. To nie ja, to ty, sprawo, będziesz życiem. A moja śmierć jest czułą matką twej wieczności.

Oto jedyne, najszczytniejsze pismo człowieka w dziejach jego na ziemi, tak ukochanej pięknej i radosnej.

Pismem tem pisały się i piszą dotąd wszystkie sprawy, o których snadnie marzymy, iżby je nieśmiertelności przekazywać należało. Tem właśnie pismem i takim charakteremznaczona jest historia wszelkich nauk i prawd, i wszystkiej historii człowieka. I tylko te wyrazy kładzie człowiek na progu tragicznym swej rozmowy z Bogiem. Nieinaczej też, a właśnie z tej ofiary

wywodząc wszelkie początki, utwierdza w sobie i rozjaśnia światło sprawiedliwości, które w ogromach ziemi i światów dookolnych jest niczem więcej, jak tylko stanowczym stwierdzeniem powagi oraz męstwa celów ludzkich.

Pod każdym słowem naszym ileż to jeszcze przepływa krwi niedawnej! Każde słowo dzisiejsze, gdyby historję swą okazać mogło, wywołałoby z pod ziemi i z morza, i z powietrza całe falangi braci, ojców, dziadów i pradziadów naszych, z krzykiem wielkim pędzących przeciw sobie do boju.

A jednak ileżto dziś z pośród owych słów ludzkich tak ongi krwawych, błyszczą wieczną jasnością pokoju?!

Oznacza to — ni mniej, ni więcej — iż trzeba było rzucić na pole setki i tysiące wrogich imion i znaków, i istnień; iż zewrzeć się musiały w strasznym przelewie krwi, zabłysnąć grozą wojny i skrzepnąć, i przemiąć, by pozostała po nich ta właśnie szczytna zasada sprawiedliwości, z powodu której nikt już za oręż nie chwyci, gdyż zasada ta we wzajemnym boju, cierpieniu i męce dla stron obu i wszystkich, i dla całej ludzkości stała się oczywistą.

Iż ta sprawa dla stron obu i wszystkich, i dla całej ludzkości stała się oczywistą!

O taką sprawę — zaiste, dziś już oczywistą — poszli Ci, których przypominam na stronicach tej książki. To Oni pierwsi wyrzekli nad Wisłą, w górach naszych, nad Nidą, nad Prutem i Stochodem, nad rzekami, polami, wobec miast, wobec wsi, wobec lasów:

Jesteś mi droższa niż życie. Tak śpieszno tutaj moim siłom, że nie ja — to Ty właśnie będziesz życiem, a moja śmierć jest czułą matką Twej wieczności.

PIERWSZY ŚNIEG

(W drodze na pozycje I-ej Brygady Legionów pod Kamieniuchą, na Wołyniu, w roku 1915.)

Po rudych, zgasłych polach wiatr się trzęsie, wśród pokruszonych krzewów leci dreszcz, a z lasu płyną wielkie, ogromne oddechy.

Cóż wiatr, cóż dzień i noc, i cóż piach, kurzący z okopów? Cóż połamane żelazo, cóż drogi przetarte na bezdroża, cóż wywijanie czarnych rękawów sosny — dla nas to wszystko nic!

Żołnierz nie zważa na nic — żołnierz się bije!

Czarne gardziele haubic wyszczekują ku niebu, i słowo nagłej śmierci lata wciąż miarowo po stropie obłoków, nad głowami ludzkiemi rozhuśtane.

Po całym froncie kroczy straszne łamanie kości: terkoce karabin maszynowy.

Jedziemy kłusa — naprzód. Zamykam oczy i znowu, znowu nie pamiętam, czy to tu, czy to tam, czy to zjawa, czy sen?

Armaty co parę sekund oddają strzał. Ludzie zawzięli się. Kują tę śmierć cierpliwie. W kaskach spięzastych, w ciemnych, skórzanych kubrakach, w sukienkach, w furazerkach, w wielkich, futrzanych czapach.

Wszędzie wkoło tryskają bure fontanny ziemi. Powyrywamy sobie grunt z pod nóg, i na czemże później znów do bitki staniemy?!

Raz wraz wybłyska ogniste żądło strzału, raz wraz przepada za wiatrakiem brudna szmata dymu.

W pogruchotanej wsi sepleni czarna łuszczyca spalizny. Jedno skopane rumowisko. Drogę zagraadza swym trupem wielki żołnierz rosyjski. Leży w środku kałuży. Ręce trzyma do strzału, karabin mu się z nich wywalił, kolba cała we krwi.

Przed żołnierzem owym runęli żołnierze niemieccy, wstrzymani w pędzie. Spoczywają nawznak. Wszystko mają na sobie tak szczelnie dopasowane, jakby im starczyć miało na całe lata wojny.

Szare chmury wołyńskie płyną im w oczach tak szeroko rozwartych. Na skraju tej kompani skoszonej leży przesłiczny chłopak w cesarskim kasku, zamyślonny — piękny, romantyczny. Jakgdyby zstąpił z obrazu Feuerbacha.

Znów droga, niczem wśród wielkich glonów zeschłego chleba, pośród trupów rosyjskich.

Na całym froncie trzeszczy straszne łamanie kości, między chałupami tryskają sypkie fontanny ziemi, z powijaków białego dymu wytryska złoty pazur — szare kule szrapnela kurzą słupkami pyłu na wywianym gościńcu.

Wśród ocalałych chałup stróżuje nasz ułan. Łazi tam i napowrót, młody chłopiec, zmarznięty, o smagłej twarzy pastuszków Malczewskiego.

Na złotem tle olszyny mijają wyniośle wysoki, legjonowy kask.

Wiatr przebiera wśród słomy podwórca i jęki stamtąd wygania. To jakiś żołdat zapomniany jęczy tam tak straszliwie.

Ludzie tu wszędzie giną, stróżują, biją się i zdychają na śmietniskach — jedziemy dalej.

Rozkaz.

Gdy zakręcaliśmy pod krzyżem wiejskim, przeleciało nad końmi lżejsze chyba niż piórko, pierwsze w jesieni tej, maluśkie ździebło śniegu.

Jedziemy. Drogi chwiejne płaczą się pod nogami, na pola spada cisza, tak równa i tak szczelna, że się wydaje -- lasom bliżej do nieba i wszystkiemu bliżej pomiędzy sobą.

Jedziemy wolnym kłusem, śnieg okrywa przydrożne mogiły, tu już przysypał czako huzara, tam znowu osiem hełmów cesarskich obielił statecznie, już białą listwą obciągnął suche ramiona krzyżów na cmentarzu.

Kłus — kłus.

We wrotach cmentarza czeka nas nasz kolega, plecami oparty o drzewce. Mały żołnierz. Nasz legun. Jak wczoraj buty sznurował, tak mu zostaną, jak wczoraj pas zacisnął, tak mu już pozostanie na wieki. Jak wczoraj spadła mu czapka, tak jej już nigdy nie odnajdzie, jak wczoraj wypadł mu notes, przestrzelony na piersiach, i otworzył się na wietrze, tak się już chyba nigdy więcej nie zamknie.

Karteczki krwawe, pospołu z onym śniegiem, włączyć się będą, o okop wadzić, między krzyżami się plątać, we wodzie tonąć i przez puste równiny przebiegać, i przy chatach szeleścić.

Wśród mroźnych strzępków śniegu i ten okrzyk młodziutkiego serca, i ten list właśnie lecący tu przez drogę:

„Kochana Mamo!

Jeśli ja zginę i list ten dojdzie do Ciebie, to wiedz, że zginąłem dla dobra nas wszystkich. Zawszem szedłem z tą myślą, żeby wrócić nam wolność tak drogą i niezbędną dla Polaków. Przez same ofiary zbliża się właśnie ta chwila. Nic nie odbywa się bez ofiar, a tem bardziej nasza wielka Idea“.

Dojeżdżamy. Wieczór zapada. Z pośród czarnych gałęzi sosen widać już duże ogniska. Na skraju lasu grzeją się Strzelcy nasi przy kępach czerwonych płomieni i śpiewają:

Tam na polu błyszczy kwiecie,
Stoi ułan na wedecie.

„Droga Mamo!

Jeśli pomyślisz sobie: — zostawiłem, poszedłem — to wiedz, że poszedłem, bo go wołała druga Matka, Ojczyzna. Wspomnij sobie, jak nieraz deklamowałem „Szata biała“. Żebyś Ty, jak owego grafa matka, zamiast płaczu, rzekła: Niech idzie, widać prędzej nadejdzie chwila wolności, spadną te kajdany hańbiące...

Kochający syn, starszy żołnierz Wojsk Polskich“.

Cóż wiatr, cóż dzień i noc, cóż pokrwawione oko-
py i śnieg, i cóż drogi utarte w jedno puste bezdroże?

Żołnierze chórem śpiewają — płomienie szumią na
wietrze, jak sztandary.

JEDEN Z PIERWSZYCH

Eugenjusz Medyński zginął w świetnym szturmie VI-go bataljonu I-ej Brygady, w bitwie pod Krzywołotami.

Mówiono, że, biegnąc do ataku, śpiewał:—„Jeszcze jeden mazur dzisiaj“. Opowiadano, że rażony w serce, konając, powierzał komuś list do narzeczonej.

Czy śpiewał, czy istotnie wręczał komuś list jakiś, trudno zaiste wiedzieć. Kto może dokładnie spamiętać w takiej chwili, jak tam leżał i konał młody podporucznik, czy powierzał komuś jakieś listy?

Rzecz inna, że byłoby to właśnie w stylu Medyńskiego: Do boju iść — oczywiście — z piosnką na ustach. Umierając, oddawać list do narzeczonej.

Całe życie Medyńskiego układało się w prostych a zarazem patetycznych formach walki za Ojczyznę. Tak, jak walkę tę rozumieją ludzie wierzący, fanatyczni, zapatrzeni we wzory najprostsze, pełne klasycznej jasności.

On, kresowiec, syn ubogiego szewca odeskiego, jako młody chłopaczek — na barykadach Odesy. W tem przeświadczeniu, że wszystko jedno z kim, byle tylko razem przeciwko groźnemu tyranowi. Tymczasem — klęska.

Pobici.

Klęska wśród towarzyszy rewolucji i broni.

Klęska i prowokacja.

Medyński — na gruzach marzeń, poszukiwany przez policję, goniony, szczuty, jeżdżący łódką do księżycyca po srebrnych falach Morza Czarnego. Na łódce tej zwierzający się pierwszemu w Odesie spotkanemu bojcowi polskiemu z nieuświadomionej jeszcze miłości do Ojczyzny, do Polski.

Której językiem mówił, lecz której nigdy nie oglądał. Rozmowy te musiały być zapewne proste, pełne wzburzonych uczuć, lecz skuteczne, skoro Medyński, jako jeden z pierwszych, znalazł się w szkole Strzelca, wówczas jeszcze „towarzystwa sportowego“.

Rosja potrafiła wygnać nielegalnego przybłędę z granic monarchji austriackiej. Prawie bez grosza, za łaskawe pieniądze sympatyka, uciekł do Belgji.

Po Odesie, po krótkim pobycie w Szkole Strzeleckiej — Bruksela, wielki Zachód, niezrównana uroda zachodniej demokracji, wszelkie wolności, pokusy wszelkich dostatków i rozkoszy. Tu oto znajduje się nagle ów młody chłopiec, nieumiejący żadnego z języków zachodnich, posiadający cztery klasy gimnazjalne i jakieś kursy aptekarskie.

Nie dać się! Nigdy się nie dać! Zdobyć tu wiedzę! Zostać inżynierem, inżynierstwo poświęcić celom ognia, czarom zwycięskiej zřeczności.

O głodzie, chłodzie, nie mieszkając, nie jedząc prawie, uczył się, zdawał egzamina, pracował nad sobą wojskowo.

Jak się stało, że zapalony, lecz prostoduszny, chłopaczek został dowódcą młodzieży niepodległościowej w Brukseli, że starsi od niego, rozumniejsi, doświadczeńsi słuchali go tak chętnie?

Może poprostu dlatego, że w szufladzie stołu bru-

kselskiej mansardy Medyńskiego, zamiast jedzenia, znajdowały się proch, piroksylin, dynamit. Że od ust sobie odejmował, aby w owych proszkach, flaszeczkach, wzmacniać, ćwiczyć i udoskonalać ideę walki.

Ludzie to odczuwali — rozumieli.

Sumiennosc tego młodego dowódcy musiała podziw wzbudzać. Żył w pogotowiu wojny na długo przed jej wybuchem. Już na cztery lata przed wojną całe tygodnie, jesienią, nocował w lasach podmiejskich Brukseli, by się zaprawiać do niewygód wojennego rzemiosła.

Podczas letnich miesięcy wykonywał, z oddziałem ćwiczoną przez siebie w Belgji, wielkie marsze forsowne. Ćwiczył się ustawicznie w strzelaniu, czytał bardzo wiele z zakresu literatury wojskowej.

Wydawało się nam to wówczas śmieszne, czy może nawet pretensjonalne, a dziś wielkie jest i szanowne, że wierzył w rychły kres swego życia.

— Zginę, zginę odrazu — śmiał się sentymentalnie jeszcze w Brukseli, pośród grona strzeleckich kolegów.

Ile razy myślę o Medyńskim, przypominam sobie ów uśmiech jego zielono-białych oczu, błyszczących tak naiwnie z pod gęstej, czarnej czupryny. Wierzył w swą śmierć i tylko poprzez śmierć własną wierzył w zwycięstwo Ojczyzny. Szedł co prędzej ku tej właśnie śmierci swej, przeprawiając się przez kordony zaraz po wybuchu wojny.

Tak rozumiał swój los. Więc posądzając o pozę, krzywdziliśmy najwznioślejsze jego bohaterstwo. Sądzę jednak, że krzywda ta była potrzebna, iżby Medyński jeszcze bardziej samotnym się czuł w swem dążeniu, a przez samotność ową jeszcze doskonalszym.

OSTATNI Z BRZÓZKÓW

Cóż dziwnego, iż pierwsze wspomnienia poświęcam filaretom belgijskim?

Byliśmy wszakże wówczas ostatnią emigracją polską, emigracją młodzieży i dzieci prawie. Wyprowadzili nas na emigrację ową ludzie sprawiedliwi i silni, którzy dziś kierują naszym państwem. Którzy skrzepili je ogromem swego genjuszu i pracy.

Pracowaliśmy na tej emigracji, już zgoła jako szaleńcy. Czyż nie było szaleństwem w owych czasach, przy tak subtelnym stanie nauki, delikatności pojęć i kultury, wybiegać w lasy okoliczne tych miast bogatych i szczęśliwych? W lasach ćwiczyć pałami, zamiast karabinów? I budzić mieszkańców złoconych klateczek podmiejskich starą pieśnią zapomnianego już wszędzie w Europie roku 1863-go:

Hej, strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały!

Kolegą Medyńskiego w Belgji najgorliwszym, gorliwcem ćwiczeń, a potem znowu wrogiem-rewolucjonistą wszechludzkiem, był Władysław Brzózka, z wykształcenia handlowiec i agronom, z ducha wieczny oponent, partyjnik, dziennikarz-tołstojowczyk, emigrant, z postaci zabawny człeczyna, o głowie w kształcie rzepy ogromnej o wybałuszonych, naiwnych oczach i ustach szerokich zaiste od ucha do ucha.

Oczywiście! Gardził powstaniem wojskowym, nie uznawał żadnych „takich” militaryzmów, uznawał jedynie wszechludzką rewolucję.

Ale ćwiczył. Ale wciąż przychodził, zaczynał, pracował, aż padał ze znużenia, z wierności natchnionej — i znów się buntował.

— Nie żalże Wam, Brzózka, do diabła — pytałem go kiedyś poufnie po jakimś nieskończeniu zawiłem zgromadzeniu w Antwerpii, na którym przewidzieliśmy właśnie wszystkie losy świata — no, boście pewno krewny, czy powinowaty księdza Brzózki z powstania?

— A tak, a jestem krewnym i jestem ostatni z rodu Brzózków, na mnie kończy się wszystko, ale nie żał mi wcale niczego. Wcale mi nie żał, gdyż to jest sprawa zasadnicza!

Zaprawdę nie wyglądał na człowieka, na którymby się miało wszystko kończyć.

Znany był też i z tego, że śmierć Tołstoja obchodził tygodniowem umartwieniem, pijąc czarną kawę i nago siedząc przed wygasłym piecem swej mansardy.

— Czyście zwarzowali, Brzózka?

— Nie zwarzowałem, kochani, wielki człowiek umarł. Choć pokłóciłem się z nim swego czasu i za drzwi mnie wyrzucał, bośmy się bardzo o sprawę polską pokłócili.

— Wyście go znali?

— Zacheiało się go poznać, wsiadłem na pociąg — i zrobione. Bardzo mu nagadałem o sprawę polską.

Gdy wojna wybuchła i Strzelec już wyruszał, Brzózka wciąż jeszcze marzył o wszechludzkiej rewolucji, która nadejdzie — sama.

— Marynarze, panie, w Kronsztadzie, już i tak obezwali frak Poincarému!

Odmawiał nas od wojny, zawracał, na każdym rogu ulicy, wszędzie na ówczesnych tak żywych, tak burzliwych plantach krakowskich pilnował wszechludzkiej miłości i rewolucji.

Aż oto pewnego ranka spotkałem tegoż Brzózkę zakurzonego, spoconego, jak wracał z Błoń w strzeleckim mundurze, z fajką w zębach, gdyż jako żołnierz musiał sobie odrazu kupić fajkę.

— Bójcie się Boga, Brzózka, czyście się wściekli? Nie chciał rozmawiać.

— Jeszcze tylko rzeczy swoje zawinę, panie kochany, i oddam gospodyni. Gdy wrócę, po wojnie, będę ręczniki i koszula, jak znalazł.

Ledwo doszedł w oddziale do Miechowa. Nie mógł dalej maszerować.

Pamiętam go w Miechowie, w sławetnej fabryce monopolu.

Jaka to była radość — spoczywać w tej rozbitej fabryce wódki rosyjskiej, rosyjskiego zła, nieszczęścia i bezprawia.

Dzień był upalny. Brzózka razem z innymi leżał pokotem na słomie, przykryty mokrą szmatą, w wielkiej gorączce, nieprzytomny ze znużenia. Dychać już prawie nie mógł, podczas całego marszu rozpyskowany, zawsze „wszechludzki“ i rewolucyjny, a w służbie wojskowej codziennego dnia tak pilny i tak wierny.

Odprawiono go wtedy do lekkiej służby. Do „świadczców“.

Nie chciał. Przechorował się i wrócił do pułku. A w pułku znów sobaczył, pyskował — i służył do ostatniego potu.

Chorował i znów wracał, coraz słabszy, jeszcze bardziej wyczerpany, ale trwał, ale w szeregu trwał. Opuścił się już był zupełnie. Wszy go oblaży, stał się pośmiewiskiem silniejszych kolegów, pełen dzikiej rozpacz i niecierpliwości na słabowitość swoją, pracujący nad siły, a poniżej wszelkiego poziomu, lecz mimo wszystko wierny — wierny do zapamiętania.

Aż pod Budami Michałowskiemi, jesienią 1914 roku, zginął na odpoczynku, w chałupie, o zmroku, na słomie. Przeczuwał, że zginie. Wypowiedział to nawet, skręciwszy papierosa.

Orzekł: — Teraz właśnie palę ostatniego papierosa.

Nie dopalił, trafiony kulą w głowę. Dopiero kiedy zginął, zrozumieliśmy, ile najszczytniejszego wahania, najszczytniejszej miłości ubyło razem z tym człowiekiem.

Z KRZYKIEM WOJNY!

U porucznika Milki, w kompanji I-go bataljonu 1-go pułku piechoty I-ej Brygady, żyło się, spało, jadło, piło a zarazem było, jak chyba nigdzie w Brygadzie, czy też właśnie, jak wszędzie — by innym oddziałom nie ubliżać w koleżeństwie — lecz z jednym zastrzeżeniem, że trudno w innych oddziałach o taki humor, ruch, pogodę i takie wesołe bohaterstwo.

Skądże to taki humor i tyle wesołości? Rzecz dla mnie prosta — gdyż Milko był ze Lwowa i wszyscy oficerowie też ze Lwowa, i kompanja ze Lwowa, bo jeżeliby nawet w istocie ze wszystkich stron Polski, to jeden Milko wystarczył, że wszyscy jakby wyszli ze Lwowa, miasta bohaterskiego i wesołego zarazem, jak żadne inne w świecie.

Milko był profesorem gimnazjalnym i dziennikarzem, i redaktorem-feljetonistą, czytany pilnie i radośnie, lecz nadewszystko świetnym organizatorem. Miał ów dar łączenia ludzi w grupę, w oddział; życie organizacyjne rosło mu samo w rękach bez trudu.

Zaleta taka nazywa się — że za jakimś człowiekiem ludzie przepadają. Przepadają, ciesząc się zawartem w takich ludziach bogactwem życia.

Jego śmierć nagła — rażony w głowę szrapnelem w bitwie 6/XII 1914 pod Marcinkowicami — wywołała krzyk w szeregach.

Ludzie wołali głośno, jakby sobie samym nie wierząc: — Komendant Milko zabity! Zabity! Zabity!

Wracałem z pozycji, na której padł Milko, wracałem jako zdemoralizowany żołnierz. Nie była to ucieczka. Wracałem bardzo powoli.

Całkowita demoralizacja: odejść stąd, wszystko zostawić, nie mieszać się już nigdy do niczego. Dokąd wracać? Nigdzie. Wszystko jedno.

Wracałem pustą szosą, szrapnele biły po niej, trzeszcząc w powietrzu garściami żelaza — było mi wszystko jedno.

W parę godzin później spotkałem na wozie porucznika Milki ordynansa jego, Jaśkiewicza.

— Wy też jesteście ranni, Jaśkiewicz?

— Ta gdzie ja ranny — mówił przez łzy — ale ja jeszcze nigdy w życiu tak nie płakał. Komendant Milko zabity. Ja już doprawdy nic teraz nie mogę!

Nie mogę, nie mogę — jękną najbliżsi, gdy doścignie ich wiadomość o tej śmierci.

Ja już nie mogę, nie mogę — poskarżą się w mrocznym pokoju ociężałe z bólu usta.

Ale przecież czyjeś serce pęknięte i czyjeś ociężałe z bólu usta, nic to nie może dziś znaczyć — idziemy z krzykiem wojny!

WYPRÓBOWANY ŻOŁNIERZ

Kapitan Kuba-Bojarski zginął w krwawej bitwie pod Łowczówkiem, w grudniu 1914 roku, w dzień Wilji Bożego Narodzenia, gdy wracał ze szturmego I-go bataljonu. Zakręcił z górki za chałupę, i tu przeszła przez niego wstęga karabinu maszynowego.

Kochał wojsko, nie miał żadnych przeczuć złowróżbnych, urządził się w służbie wojennej i gospodarował, jakby ta wojna miała chyba trwać wiecznie. Kochał ten surowy i stanowczy tryb organizacji. Przejęty był do dna swego istnienia radością żołnierstwa. Wszystkie rozkazy, dyspozycje, trudy, marsze spełniał z żywiołową radością.

Pod rozkazami jego rozpoczynałem swoją służbę wojskową. Był to człowiek twardy, prosty, spokojny i rozumny. O sobie samym nie mówił nigdy. Raz tylko poprzez ramię, gdy szukał czegoś w notesie, zauważyłem z boku na kartce, przy jakichś wyliczeniach zanotowane:

Przyjazd mamy.

Notatka ta przestraszyła mnie. Jakgdybym sobie wtedy uświadomił, że nie wolno na wojnie wzywać słów czulej miłości.

Nikt tak, jak Kuba-Bojarski, nie umiał wydać zmarzniętej, zbiedzonej kolumnie piechoty rozkazu — *masze-*

rować. Tyle w rozkazie jego było współczucia, powagi, poczciwości. Jakiejś wyższej, ojcowskiej poczciwości.

Nigdy w czasie marszu nie jechał konno, zawsze szedł piechotą razem ze swym oddziałem. Dobrze związany, szczupły, twarz regularna, niskie, równe czoło, nieduże, czarne, zmyślne oczy, rumiane policzki, małe usta, wykrojone w kształcie serca.

Zdawałoby się — wcale przeciętny. Tymczasem twarz ta w boju przeinaczała się. Jakoby wyższy duch ją opromieniał. Czyniła się podobną do głowy-emblematu, herbu, godła.

Są twarze, które walka poniża, rozkłada, nicosć ich ukazuje, i twarze, które bój uświęca.

Kuba-Bojarski był srogim, wypróbowanym żołnierzem. Krwawą wojnę z caratem prowadził od czternastego roku swego życia — na wiele lat przed wojną.

Komendantem bataljonu był mianowany — i z tego bardzo dumny — przez Piłsudskiego na placu boju.

Przy całej powadze lubił naiwnie wszelką zewnętrzną wojskowego stanu. Opięty zawsze chrzęszczącymi rzemieniami, nosił bogatą, osobliwą szablę, najstaranniej naszyte odznaki.

Przeczulem, że zginie, gdy podczas jakiegoś postoju, w czasie bitwy pod Limanową, otrzymaliśmy cały transport z etapu.

Kto nie był w polu, ten nie wie, co znaczy przybycie takiego transportu. To znaczy — że skarby Sezama przyjechały i cała Europa, i wytworna miękkość cywilizowanego świata, i ponętny, niedościgły wdzięk kultury.

— A ta błuzka to mi się przyda — zawołał kapitan Kuba, wyciągnąwszy ją z tłumoka i niosąc w pro-

mień słońca, który przez okno chałupy spadał na klepisko.

— Komendancie, gdzieżbyście wy chodzili w takiej bluzce, ułanka austriacka do piechoty?! Ale mnieby się przydała — prosił konny ordynans bataljonu.

— No, widzicie, kiedy mi szkoda tych złotych sznurów — odpowiedział Bojarski, z dziecinną radością i gustem na nie patrząc. — Później będę sobie nosił...

Zerwałem się z barłogu. — Później nie. Już nie... — och nie... już nie — przemknęło mi przez myśl...

Ze śnieżnych gór, z czarnych, srebrzystych lasów waliło słońce złomami opalu przez okno. Kuba stał na środku izby i, wysoko trzymając ułankę, śmiał się do niej i do złotości jej, naiwnie, szczerze. Tak go na zawsze już pamiętam z uśmiechem, zawieszonym w promieniu słońca.

Bolesław Szpunar pochodził z Wieliczki, był synem górnika. Rósł w biedzie i w kłopotach — bo jakież to są rozkosze i uciechy, i dostatki górniczych dzieci?!

Wspaniale przetrwał dwanaście lat galicyjskiej nauki, cztery klasy „ludowe” tępej, zakutej metodyki i osiem lat gimnazjum klasycznego, zakończonego dialogami Platona w oryginale — pośród takiej biedy dookolnej i takiego serwilizmu.

Jako młody prawnik, stał się Szpunar wkrótce groźnym dla wszystkich prowincjonalnych kacyków wielickich. Oto człowiek — wyrosły „z niczego”, z pracy, a działał przecie za dziesięciu i sprzęgał dookoła siebie całą wielicką organizację robotniczą.

Ludzie tego wychowania i tego pokroju, co Szpunar, byli w ostatnim dziesiątku lat wielkiem zdrowiem i najmłodszą nadzieją Małopolski. Zardzewiałe kółka i tryby wszelakich machinacyj galicyjskich, które tak dokuczliwie skrzypiały przy wyborach, radach, kasach, komitetach i sejmach tej części Polski, pod naciskiem Szpunarów musiały być usprawniać się, czyścić, funkcjonować prawidłowo i uczciwie.

Och tak — Bolkowi Szpunarowi należałby się życiorys w stylu Amicisa. Żeby tam było opowiedziane poprostu o owem mieszkanku górniczem w Wieliczce,

o tych kufrach, jeszcze z chłopska wzdłuż ściany ustawionych, i o owej lampie naftowej z brzęczącą umbrą, i o tem, jak siadywał tam u tych Szpunarów poseł, zacny pan Klemensiewicz, i aż oczy mrużył z radości na widok, jakiego to działacza dochował się w tym niebieskookim Szpunarku.

Ów Amicis polski ma wdzięczne pole pracy: pokaże nam syna górnika, który to syn pamięta chyba przecie wszystkie niedole ojcowskie, a zarazem swego dzieciństwa. A oto teraz syn górnika wyrósł już i przemawia w niskiej, szarej sali Domu Ludowego w Wieliczce, pod zadymionym portretem Marji Konopnickiej. Okna tego Domu Ludowego wychodzą na górki, na te górki tutejsze, poszarpane tak ciężką pracą ludzką. Lecz w szybach przebłyskuje nadzieja.

Niechże to będzie powiedziane — nadzieja, nadzieja, ukochana, nadzieja, skoro z pod biedy i ucisku, i niedostatku wyrobić się tak można, że dzieci nasze na trybunie już stoją i do narodu swobodnie przemawiają.

Wybucha wojna. Szpunar jest prawnikiem, Szpunar jest urzędnikiem i Szpunar jest działaczem. Nie taka wielka rzecz wydobyć go z szeregu i przyszczędzić życie takiego chłopaka.

Wybucha wojna — nie szukajcie Szpunara, choć nikt z was nie słyszał, żeby materjalista taki głosił perory o Ojczyźnie, lub srebrne szpilki z orzełkiem nosił przy krawatce.

Z pierwszemi oddziałami Strzelców przekroczył granicę.

On i jego brat młodszy poszli na wojnę odrazu i poprostu: jak się przystaje na żołnierza w piosence. Jak

to pojmuje myśl ludu, która żołnierkę uważa za pracę dla Ojczyzny.

Bracia Szpunarowie bili się mężnie w I-ej Brygadzie pod Józefem Piłsudskim.

Rozrośli się, chłopcy się z nich porobiły i tylko oczy jeszcze pozostały im niebieskie, świeże, jak bławatki.

W srogiej bitwie pod Łowczówkiem, podczas odwrotu, Bolesław został ranny, gdy ostatni schodził z placu.

Brat przy nim został. Jakże dręczyć musiała rannego myśl, że brata gubi, jak zdrowy cierpieć musiał, że nie podźwignie rannego.

Polska linja znikła już w lesie, między pniami ukazywały się coraz częściej szare, rosyjskie papachy. Wśród strzałów, wrzasków hurra! zgiełku bitwy, śniegu i mgły, dnia 25 grudnia roku 1914 stracili obaj bracia na zawsze z oczu szereg bratni

Bolesław zginął z odniesionej rany, brat jego, Mieczysław, umarł w szpitalu rosyjskim w Tarnowie na tyfus.

Należy się Szpunarowi miejsce w niskiej, małej sali Uniwersytetu Ludowego w Wieliczce, gdzie tyle razy wykładał. Należy mu się miejsce w Domu Robotniczym. Niechże tam na stosownej rycinie biegnie z płonącym łuczywem w ręku na czele tłumu — jak biegł po zwycięskich wyborach, które w Wieliczce prowadził.

Należy mu się stronica w bezliku stronic polskiej sławy żołnierskiej.

Przedewszystkiem jednak należy mu się pamięć tych wszystkich, którzy po różnych zapomnianych kątach walczą o ład, o prawo i obowiązek. Niech wierzą

i zapamiętają, że oto ich poprzednik tak samo walczył. I tak samo wywodził się z tego, co pospolity dzień grubych dostatków zwie — niczem. Że wywodził się z ciężkiej, bezimiennej pracy. Że pracę ową potrafił opromienić najwyższem dobrem, jakie znane jest człowiekowi na ziemi: skarbem nadziei tych właśnie szarych ludzi, którzy nie mają w życiu innej i lepszej wiary, jak w lepszego, najlepszego Człowieka.

Faint, illegible text at the top of the page, possibly bleed-through from the reverse side.

TRZEJ SIERŻANCI

Minęły już te pierwsze dni tkliwości, gdy nazwiska rannych i zabitych naszych były rzadkością bolesną i bezcenną.

Możemy już dziś dla zbudowania żywych mówić o śmierci prosto. Żołnierska dola nauczyła nas rozumieć tę rzecz mężnie, skromnie, w granicach Celu i Sprawy.

— Melduję posłusznie — rzeknie szybko gdzieś w polu ordynans — że dowódca naszej kompani zginął...

Tak się dziś wypowiada — ustąpienie z szeregu...

Taką właśnie prostą śmiercią zginęli w boju 22 grudnia roku 1914 trzech żołnierze 1-ej kadrowej kompani, sierżanci 1-go pułku piechoty Legjonów, Kazimierz Kamiński (Luboń), Kazimierz Strzelecki (Kazik) i Henryk Dobrowolski (Sęk).

Wyszli razem 6 sierpnia z Krakowa, w tej pierwszej kadrowej kompani, która niosła do Królestwa głos wszystkich serc Polski i gniew najszlachetniejszej zemsty. Radość 1-ej kadrowej kompani należała się Kamińskiemu. Zapracował na nią jeszcze jako student Instytutu Elektrotechnicznego, organizując Związki Strzeleckie w Rosji i Petersburgu.

On, który tak dobrze umiał oblecieć wszystkie kąty studenckiej polityki, tak dobrze wszystkie koteryjki

zamazać, a całość roboty trzymać w garści... On, który dobrym szlakiem dziadów, pradziadów, Padlewskich, Schwarzów i wszystkich tamtych — kuł zemstę w gnieździe wroga...

Na radość tę zasłużył Strzelecki, cichy pracownik, jeden z tych niestrudzonych dobrodziejów plutonu, który warzą jedzenie dla innych, gdy inni się po długim marszu walą z nóg, którzy znajdują kwatery, gdy inni się już ruszyć nie są w stanie.

I zasłużył sobie trzeci z nich, młodziutki Dobrowolski, członek Strzelca warszawskiego, by był między pierwszymi, którzy wejściem żołnierza witać będą zabrani drogi kraj.

Wszyscy trzej zginęli w bitwie pod Łowczówkiem dnia 22 grudnia 1914 roku.

Strzelecki skończył tak samo, jak żył, skromnie i cicho, od rany w serce — w randze sierżanta.

Zginął Dobrowolski, tak właśnie ślicznie dotrzymując przyjaźni, jak pięknie szedł do boju.

I trzeci sierżant — Luboń..

Do ataku biegł pierwszy. Rażony kulą, klęknął, przytulił się do drzewa. Lecz nie wypoczywał zbyt długo. Spostrzegłszy, iż krwi zatamować nie zdoła, ściągnął dłonią kurtkę na skrwawionej piersi i skoczył naprzód.

Słyszeli wszyscy jego wołanie:

— Niech żyje Polska, legioniści naprzód!!

Runął, trafiony w czoło.

Wszystko, co pozostało z naszego ziemskiego Lubonia, to dwa małe notesy, które nosił w tornistrze:

Na wąziutkich stronicach pisał tu sierżant Luboń:
„6/8 1914, czwartek. Alarm o drugiej rano. Zbiór-

ka przed trzecią. Wymarsz z Krakowa pierwszej kadrowej kompanji wojsk polskich“.

Należał do pierwszej załogi w Słomnikach, tu, jak głosi wytarta stroniczka:

„Pierwszy raz mówiłem do chłopów... Po stu latach przychodzimy — wojsko polskie — za wolność i lud. Sam ledwom się nie rozplakał“.

I później, o wiele później, po różnych losach, po ciężkich tarapatach:

„Wlecjemy się do Lasków. Zapewne zaraz pójdziemy w bój... Trzeba z pogardą śmierci, śmiało, wesóło, z pogodną twarzą iść w bój... By moi najdrożsi wiedzieli, żem walczył i ginął mężnie za sprawę, o której tyle lat marzyłem, dla której rozdmuchania wyteżyłem swój zapal młodzieńczy. Skończyła się gadanina“...

W dwóch małych notesach, przez godziny zbiorów, racje otrzymanych sucharów, gotowania kawy i te niewyczerpane „*idziemy dalej*“, i te rozmaite „*budzą o piątej*“, przez chwile postoju i walki, kroczy prosta chwala piechura, klasyczna dzielność sierżanta...

Aż oto schodzi z kartek dziennika, pochyla się nad drzewem, do którego się tulił ranny Luboń. Kwitnie wielka, ogromna, tam, gdzie padł, rażony w czoło kulą śmierci, a wraz dotknięty pocałunkiem nieśmiertelności.

Razem wyszli, razem zginęli trzej sierżanci, spodem leżą pod grządką świeżo usypanej ziemi, a szeregi, które już naprzód bez nich poszły i idą, niosą radosne wezwanie Lubonia: „Niech żyje Polska, legioniści naprzód!!...“

ZALEŻNE OD KILKU SŁÓW...

Chciałbym, by los i śmierć Kaszubskiego, właśnie dlatego, że tak tragiczne, oparły się przesadzie patosu i by widzieć je można było, ów los i ową śmierć, w codziennej prostocie, rzeźkości nieomal, z jaką je złożył polskiemu narodowi skromny oficer I-ej Brygady, podporucznik Stanisław Król-Kaszubski.

Nie trzeba, nie należy, by między Kaszubskim a zwykłym codziennym człowiekiem stawała legenda. Pamiętajmy Króla, jakim był, zwykłym, bliskim, może nawet pospolicym. Poczciwym, niewybrednym. I pamiętajmy, że taki właśnie pomierny — jest bohaterem.

Zaprawdę — wielka to rzecz bohaterstwo, lecz przecie nie tak wielka, gdy spełnia je człowiek na wielką miarę zakrojony. Na wielką miarę zakrojony, przykładami oddawna budowany, olimpijczyk. Natomiast większa, stokroć większa, gdy laury takowe zdobywa szara potoczność: wtedy bowiem dzieje się cud i przemienienie, i cnota nie jest w świetle wyjątku ustawiona, lecz staje się regułą codzienności.

Podporucznik Stanisław Król-Kaszubski był człowiekiem nader małego wzrostu, budowy bardzo, przyznać trzeba, niewydarzonej, twarzy brzydkiej, z wyłupiastymi oczyma i wystrzępionym wąsem.

Przyznać trzeba, że postawa Kaszubskiego dużo w sobie miała cech śmieszności. Nic to nie znaczy, oczywiście, gdy mowa o wiecznym życiu człowieka, lecz tu na ziemi, w życiu potocznym, znaczyło i zawsze znaczy.

Miał on już coprawda zasługi piękne w roku 1905. Ale i te zasługi jakgdyby sam rozpraszał, czy też umniejszał do niewielkiego poziomu fizycznej swej postaci. Można przecie samemu dojść do wielkości moralnej i samemu można ją roztrwonić. Nie oszczędzić — ale wydać po groszu.

Otóż Kaszubski tak samo właśnie: wprawdzie uczestnik rewolucji 1905 roku, lecz zarazem uczestnik bardzo głośny wszystkich wieców, obchodów, gadulstw, dzikim tenorem niemiłosiernie śpiewający przy natchnionych pijaństwach.

Gadula skory i namiętny, wyćwiczony zajadle w rozpowszechnionej wówczas paplaninie stowarzyszeniowo-akademickiej.

Nastaje wojna, zabiera Kaszubskiego, jak wszystkich innych w tym niepodległościowym klanie.

Bitwy, marsze i bitwy, aż wreszcie bitwa pod Łowczówkiem. Jeszcze niedawno w Makowie, w Suchej, w Nowym Sączu śpiewał Kaszubski przy wódeczce i piwku „Warszawiankę“ i inne hymny uroczyste, że słuchać było trudno. A tu wypada bitwa pod Łowczówkiem — haratanina wielka po owych górkach zmarzniętych i zdradliwych.

Chodźmy stąd za słowami komisarza miejscowego w Pilźnie Małopolskiem:

„Donieść muszę — pisze ów miejscowy komisarz — że oficer I-ej Brygady, który dostał się do niewoli pod Łowczówkiem...

Po czterech dobach walki wracał jako jeden z ostatnich przez owe wzgórza i las, pełne dymu i śmierci. Widziano jeszcze Kaszubskiego, jak, kulą rażony, zwinął się w kłębek i stoczył ze wzgórza.

Ale nie wiedział ani on, Kaszubski, ani Rosjanie, że się im codzienność polska zwykła, najzwyczajniejsza, pod nogi potoczyła. Niby kamyk nieduży. Lecz — że na tym kamyku niedużym nigdy nogi nie postawią.

„Donieść muszę, że oficer I-ej Brygady Legjonów, Kaszubski, który dostał się do niewoli pod Łowczówkiem, przetrzymywany był w tutejszych aresztach sądowych...

I tu oto stało się, o czym nikt nie wiedział w aresztach sądowych: myśleli, że oficera Legjonów schwytali, że się od niego dowiedzą może, czego trzeba dla wywiadu. Lub może odbędą przeciętną formalność indagacji i odeślą na tyły ku etapom, jako jeńca wojennego.

Może nawet sam Król-Kaszubski nie wiedział, że to on w tem więzieniu przesiaduje a zarazem już jakby nie on.. On i prorocy jego: Łukasiński, Mickiewicz i Traugutt.

Jacyż prorocy? Nie mogła mu tu towarzyszyć historjografka myśli polskiej, bo jej zapewne nie znał; towarzyszyła mu zapewne patryotyczna śpiewka, najprostsza, aż do uprzykrzenia znana.

...„przetrzymywany był w tutejszych aresztach sądowych, poczem, gdy z papierów okazało się, że jest

poddanym rosyjskim, czemu on nie zaprzeczył, skazano go na powieszenie”.

Czemu on nie zaprzeczył! Mógł przecie zaprzeczyć, motać, odwoływać się, wykręcać. Mniejsza już nawet o to, czyby był wygrał tę sprawę. W każdym razie przedłużał sobie życie w tym wypadku i otwierał nowe możliwości ocalenia.

Lecz nie zaprzeczył.

Więc znalazł się ten zwykły człowiek twarz w twarz przed tem samem zagadnieniem, które ongi stanęło wobec przemądrych i najzacniejszych oczu Sokratesa: iż całe życie zależne się stało od kilku słów.

Spotkał go tej samej doniosłości mrok wieczora, tej samej długości dzień leniwy. Tylko, że najbardziej świadome myśli Kaszubskiego mniej miały w sobie świadomości, niż najbardziej nieuważne i rozstrojone myśli Sokratesa. Tylko, że wokół Kaszubskiego, w jego myślach, nadziejach, kwitły sprawy życia, i nie potrafił zapewne zobaczyć ich nadziemskiego cienia. Był więc prawie bezbronny wobec dylematu śmierci, a śmierć na niego szła i zatrzymać można ją było tylko kłamstwem: że nie jest rosyjskim poddanym.

Czyli — iż podporucznik I-ej Brygady Piłsudskiego miałby powiedzieć, na tym tu sądzie w Pilźnie, że nie jest sobą, skoro jest podporucznikiem I-ej Brygady.

Zdrada sztandaru!!

Sztandar, tem prostem rozumiany sercem, jakąż przedstawiał radość i ponętę?! Tę chyba głównie, że go oddać nie można. Niech minie wszystko i niech śmierć przychodzi — nie wolno oddać sztandaru.

Dlaczego, ach dlaczegoż nakoniec, nie wolno oddawać sztandaru?

By za lat kilka, lub jutro, kilku takich samych Kaszubskich nie powiedziało:

Wzięty do niewoli pod Łowczówkiem Kaszubski myślał, że sztandar oddać wolno.

„Donieść muszę, iż oficer I-ej Brygady Legjonów, Kaszubski, który dostał się do niewoli pod Łowczówkiem, przetrzymywany był w tutejszych aresztach sądowych, poczem, gdy z papierów okazało się, że jest poddanym rosyjskim, czemu on nie zaprzeczył, skazano go na powieszenie. Wyrok wykonano na targowicy wczesnym rankiem, ciało pogrzebano niedaleko cmentarza. Jednak grób zrównano i koźmi zatratowano, by nie pozostał ślad”.

Mała ulica Pilzna, a tu oto po bruku maszeruje już konwój w stronę targowicy miasteczka. Król-Kaszubski idzie pomiędzy żołnierzami konwoju, idzie, jako był w życiu — niezdarzonej postaci, malutki, z myślą jedną w swej skołatanej głowie: podporucznik I-ej Brygady miałby powiedzieć, że nie jest sobą, skoro jest podporucznikiem w I-ej Brygadzie? Zdrada, zdrada sztandaru!

Sądzę, iż takim należy zapamiętać Kaszubskiego, który, jak był w życiu malutki, między największymi zapewne już chadza i szary mundur strzelecki szczerosrebrnym epoletom księcia Józefa i starszym, złotym buławom hetmańskim przedstawia całkiem godnie.

KIELICH PŁOMIENI

Franciszek Grudziński (Pększyc) urodził się w r. 1890, do szkół uczęszczał w Krakowie, studja uniwersyteckie odbywał w Krakowie i Lwowie (Politechnika). W r. 1905 należał już do Skauta, gdzie pracował razem z Małkowskim. Brał bardzo żywy udział w formowaniu się i rozwoju Drużyn Strzeleckich we Lwowie. We Lwowie, podczas wielkiej manifestacji przeciw rosyjskiemu konsulatowi, uratował z tumultu ulicznego sztandar, zwrawszy go z drzewca.

Pracował później w Krakowie. W roku 1913 prowadził dwumiesięczny kurs zimowy w Rabce. Działalności wojskowej oddawał wszystkie siły ducha i ciała. Rozumiał ją jako wyzwolenie z wszystkiego, co w Polsce jest niewolą..

W r. 1913 został dowódcą kompanji i zbrojmistrzem Drużyn Strzeleckich. W czasie wyruszenia pierwszych oddziałów polskich do Królestwa, walczył jako poddany austriacki w wojsku austriackim przeciw Czarnogórz. Połączywszy się z szeregami I-ej Brygady, odbył cały szereg bitew. Był ranny pod Laskami.

— Wiedziałem, że będę ranny i że nie zginę — mówił później — dopóki będę Sprawie potrzebny, nie mogę zginąć...

W bitwie pod Łowczówkiem znakomicie prowadził bataljon. Świetnie sprawował plac-komendę w Kętach. Żołnierze cenili i kochali młodego porucznika.

Był wzorem w polu, wzorem w garnizonie, wzorem we wszelkich okazjach akcji wojskowej. W akcji nad Nidą dowodził kompanją VI-go bataljonu. Ranny i odwieziony do szpitala polowego, uciekł stamtąd, by jak najprędzej wrócić do oddziału.

Powrót do szeregów Brygady przyjęła jego kompanja, leżąca w nocy w okopach, tak potężnem hurra, że rakiety poczęto świecić wzdłuż całego frontu, a zaniepokojeni Rosjanie wysłali patrol, który dostał się do niewoli.

Dnia 3 czerwca, koło godziny 11 w południe, z okopów przed wsią Terniki wyruszył Grudziński z dwoma żołnierzami na zwiady.

Dzieliła go od Rosjan falista przestrzeń niewielkich wzgórz, okrytych żytem.

Za temi wzgórzami i za zbożem ciągnie się wieś.

A za rzędem jej chałup, za grzbietem kosmatych poszyc ze słomy, strzelają z bujnej zieleni drzew szczyty wież kościelnych.

Linje okopów kręcą się po obu stronach wsi, która jest tak przysłowiowo polska, doprawdy, osobliwie, w ciszy i cieniu między dwiema śmiertelnemi linjami.. Bezradna w uroku wiosny, między dwiema smugami walki na pożar skazana.. Marszczą się nad nią w upale sino-niebieskie wstęgi powietrza, a fioletowe kontury wież kościelnych obrzeża złota lama jasności..

Tędy, wśród zboża kwitnącego — bo właśnie kwitło żyto — szedł Grudziński z dwoma żołnierzami, jakby wyzywając śmierci... Niedaleko od pozycji rosyjskich pod Modliborzycami, zwiąawszy się z nieprzyjacielem strzelaniną przed frontem tej wsi, prostym i kochanym, jak stara pieśń ludowa — padł porucznik Grudziński na fale kwitnącego żyta, rażony kulą w głowę. Już w czarne słońce śmierci patrząc, we krwi i salwach wystrzałów, już ślepy — dokonał Grudziński sam swego przeznaczenia, strzelając sobie w serce...

By przyjść porucznikowi z pomocą, dowódca bataljonu Fleszar rozpoczął bitwę. Wziął pod ogień ciężkich dział wieś, natarcie ogniowe zarządzając na obu flankach. Dopiero w osłonie tej burzy ognistej, szalejącej pod czystym blaskiem słońca w samo południe, udało się sanitariuszom zabrać zwłoki porucznika.

Drugiego dnia odbył się pogrzeb tuż za pozycją naszą w Baćkowicach.

Trumnę wystawiono we wiejskim kościele. Okryto ją sztandarem narodowym — przez skrzydła Orła Białego biegła czarna wstążka żałoby. Zapalono świece. Jakby gromada złotych motyli obsiadła katafalk.

Oficerowie — żołnierze — uroczyście śpiewy... Ramię w ramię braterski splot kolegów poniósł trumnę na cmentarz.

Gdy ksiądz kapelan Żytkiewicz zaczął przemawiać, warta honorowa zadrżała od łez.

Wyszedszy z wiejskiego cmentarza ku wzgórzom i pozycjom, zauważyliśmy, iż w głębinie wieczora, pod spokojnym ogromem fioletowego nieba, płoną stogi zboża, trafione jakimś wystrzałem.

W niebieskawem powietrzu oddali mienił się kielich płomieni, rozwarty ku niebu.

Rzeczywiście — ach, rzeczywiście — jakby ziemia w kielichu tym oddawała duszę bohatera czułym, głębokim łaskom nocy.

ZAPISKI PORUCZNIKA PEKSZYCA-GRUDZIŃSKIEGO

Tak prędko płynie nurt wojny, że niezawsze dojrzeć w nim można — skarb rzadki, jaki wraz z tą falą nieznanym siłom pamięci powszechnej przekazuje los. Skarby te dziś w tak skromnej i szarej kryją się szacie i tyle w nich prostoty, i taki brak wszelkiego zewnętrznego wyglądu, że należy innemi na nie patrzeć oczyma, niż na to, cośmy w chwilach pokoju zauważać przywykli... Należy mierzyć te rzeczy, jak ruchy i czyny kogoś, kto pozostaje wobec ciągłego niebezpieczeństwa, stoi na pograniczu życia i śmierci. Nie olśni was nader wybitnem słowem, ani harmonją gestu, natomiast darczyć może stosowną twardością słowa i celowością każdego poruszenia. Przymioty te składają się na typ nowego piękna, którego przykładów tak mało, zaiste, mieliśmy przed wojną.

W piękno to obfitują pamiętniki, jakie znaleziono w tornistrze porucznika Grudzińskiego.

Są to trzy kajety szare, oprawione w połupaną i wystrzępioną ceratę. Na stronicach tych zeszytów znajdziecie ołówkiem pisane to wszystko, co porucznik Grudziński uznał za godne zapisania od początku wojny do swej śmierci.

Zaiste, dawno takich pamiętników w Polsce nie było: pierwsze w nich miejsce i ostatnie zajmuje Służba

i jej sprawy. Wszystko, co nie jest służbą wojenną, wszystko, co bezpośrednio nie ma z nią związku, jest na ostatnim planie, raczej kryje się po kątach stronic lub snuje się na wąskim marginesie.

Grudziński żył, patrząc prosto w słońce wyniosłego swego celu, którym był ...oreź polski. W pierwszych zaledwie słowach tego pamiętnika spotykamy wzmianki, tyżące się osobistego życia. „Na grobach mamy i Gucia.” Spowiedz — Komunja.

Oto, jak zaczyna się pamiętnik:

„29 lipca 1914. Koło 6 rano przyjechałem z kursu Drużyn, z Nowego Sącza. Pakowałem się. Po południu byłem na cmentarzu, na grobach mamy i Gucia, wieczorem o g. 10 m. 55 wyjechałem z Krakowa.

30 lipca 1914. Lwów. Przyjechawszy, byłem u Spowiedzi i Komunji. Potem na cytadeli, w 30 p. p. Zameldowałem się. Stąd wzięto mnie do szkoły św. Magdaleny, gdzie ekwipowano wszystkich rezerwistów z IV-go bataljonu.”

Są to czasy pełne gorącej egzystencji, pełne wybuchów wojen. Wojny czynią ze starej, starannie zabudowanej, pilnie eksploatowanej Europy, jedno olbrzymie pole walki, przecięte linią okopów od Bałtyku po Siedmiogród. Nie przepajają one łuną uniesienia pism Grudzińskiego:

Po walkach na czarnogórskim froncie, przedostaje się do oddziałów strzeleckich, stojących w Kielcach. Wraca do zaczątku armji polskiej, do tego, czemu wiele lat pracy przed wojną poświęcił. I wówczas jednak ton jego pisanja nie ulega zmianie. W zbiorze notowanych wrażeń jakgdyby brak było postawy emocjonalnej.

29 sierpnia. Cały dzień jazda gościńcem warszawskim. Po południu w Jędrzejowie. Tu nas zatrzymano na noc, ponieważ, według wieści, oddział kozaków krąży koło miejscowości. Byłem komendantem pogotowia aż do rana.

30 sierpnia. O 12 w południe przyjechaliśmy do Kielc. Do wieczora chodziłem z dawnymi drużyniakami. Byliśmy w mleczarni.

31 sierpnia. Nie mając jeszcze przydzielenia, cały dzień się wałęsałem, nic nie robiąc.

Nareszcie — 3 września otrzymałem komendę bataljonu VI-go (rekruckiego).

4 września. Rano lustracja bataljonu na błoniach. Po południu porządk.

5 września. Rano przysięga austriacka przed generałem Baczyńskim (austr.).

Po południu ćwiczenia z rekrutami na błoniach. Brak szarż.

6 września. Cały dzień praca w bataljonie. Otrzymałem 10 szarż krakowskich.

7 września. Prowadziłem cały dzień ćwiczenia bataljonu. Wieczorem odprawa w sztabie, potem w bataljonie.

8 września. Rano ćwiczenia na błoniach, po południu karabinami na podwórzu w koszarach, wieczorem odprawa w sztabie, potem w bataljonie.

9 września. Rano i po południu ćwiczenia bataljonu na błoniach (na południe od Kielc, zwykłe pole ćwiczeń). Wieczorem odprawa w sztabie, potem w bataljonie.

Ten tydzień żołnierski powtarza się prawie niezmiennie, z małymi tylko warjantami. „Wymarsz, ćwiczenia

i kwatery“, oto jakgdyby osi, koło których kręci się cały los, całe życie oficera Grudzińskiego.

Byłoby rzeczą naturalną, gdyby tu i ówdzie zjawił się wśród tych nieustannych obowiązków głos jakiegoś lirycznego uniesienia, czy też refleksji. Głos ów nie zjawia się. Ani na chwilę nie opuszcza duszy Grudzińskiego w rozmowach samej z sobą spokojna twardość charakteru.

W bitwach pod Opatowcem Grudziński nie brał udziału, gdyż był odkomenderowany do ćwiczenia bataljonu uzupełniającego w Wadowicach (Chocznią). Wrócił na front 24 września. Porucznikiem mianowany został w październiku.

Oto, jak o tem pisze:

„11 października. Na kwaterach w Janowicach Bagnistych. Z Komendy Głównej przyszło mianowanie na porucznika dla mnie rozkazem z 9.X.1914.

12 października. Kwatery w Janowicach. „Biba“ wieczorem w plutonie drugim.

13 października. Marsz z Janowic do Borji. Kwatery w Borji.

14 października. Marsz z Borji do Miechowa. Kwatery w Olechowie. Noc pogodna. Kometa na północnym zachodzie.

Uwaga o pogodzie jest w pamiętnikach Grudzińskiego rzadkością.

15 października. Marsz z Olechowa do Błazin. Kwatery w Błazinach.

16 października. Marsz z Brzezin do Chomętowa. Kwatery w Chomętowie.

17 października. Kwatery w Chomętowie. Rekwizycja jabłek u żyda.

18 października. Marsz z Chomętowa do Bartodziejów. Kwatery w Bartodziejach.

19 października. Marsz z Bartodziejów do Podlinówka. Kwatery w Podlinówku.

20 października. Kwatery w Podlinowie. Ćwiczenia bataljonu“.

Z ostatnich dni widać, że I Brygada maszerowała ustawicznie, jak to się dzieje zwykle przed bitwą.

„21 października. Na wiadomość, że część sił moskiewskich przeprawiła się na lewy brzeg Wisły, Prusacy wycofują się z pod Dębina. Nas przesunięto z Linowa do Lipin. Kwatery w Lipinach. Kompanja 1-sza na forpocztach w związku z forpocztami austriackimi.

22 października. O 4 rano wymarsz z Lipin (marsz bojowy) do Pionek. Stąd przesuwano nas, jako rezerwę pułkową, przez lasy aż do wsi Laski, obok której rozgrywała się silna bitwa. Myśmy byli w rezerwie, w ogniu był III bataljon strzelców (Śmigłego). Spaliśmy we wsi Laski pod gołym niebem, na słomie.

23 października. O 5 rano silny ogień karabinowy na północnym wschodzie wsi. Pozostaliśmy we wsi Laski do kwadrans na 3 po poł. Koło 12 godz. Moskale zaczęli ostrzeliwać wieś armatami. O kilkadziesiąt kroków od nas granat uderzył w stodołę, zburzył ją i zabił dwóch strzelców, znajdujących się w niej. Jednego przeciął na pół. O kwadrans na 3 otrzymałem rozkaz ruszenia do linii na północny wschód od Lasek (zgęszczenie linii). Zaraz za wsią rozwinąłem kompanję w tyraljerkę (dwa plutony, dwa w rezerwie). Teren równy — płaski. Ubiegłszy jakieś 2000 kroków, dostałem kulą w lewą nogę poniżej kolana i zdałem komendę kompanji na Boreckiego. Było coś blisko 3 godz. po południu. Trochę

zacząłem pełzać ku wsi (jakieś 100 kroków), potem zacząłem okopywać się i przeleżałem tak do 7 wieczorem. Gdy się ściemniło, ogień ustał i kilku z mojej kompanji wzięło mię do wsi. Tutaj mię opatrzone. (Ambulans bataljonowy).

24 października. Rano wsadzono mię na furę i wraz z innymi rannymi wieziono cały dzień do Radomia“.

Tak może pisać żołnierz stary i doświadczony o bitwie, w której srożył się gwałtowny ogień artyleryjski, często grasowała śmierć.

Lecz młodziutki porucznik?

Niczemże mu są te chwile spoczynku nocnego, gdy żołnierz śpi pod gołym niebem, a jutro pod tem samym niebem leżeć już tylko będzie twarzą spokojną, po raz pierwszy zwrócony ku wieczności?...

Niczem mu te Laski, chałupa po chałupie płonąca, i te 2000 kroków w ogniu karabinowym.

Zapewne i Grudziński, jak każdy dzielny człowiek, przeżywał podczas wojny uczucia tliwości, żalu czy nawet rozrzewnienia. Nie uznał jednak za słuszne i potrzebne utrwać ich. Nie warto mu było czasu na to tracić. Dusza ta cieszyła się służbą bez wszelkiej ozdoby dramatycznej. W opisie bitwy widać, iż Grudziński walkę i bohaterstwo uważał za surowe prawo a czynny swe sądził nie wysiłkiem ofiary, lecz korzyścią dokonanego zadania.

Ranny, leczyl się w szpitalu wojskowym w Reichenbach, następnie w Hranicach na Śląsku.

„*5 listopada.* W szpitalu w Hranicach. Odwiedziły nas trzy Polki z Bochni. Chodzić jeszcze nie mogę.

6 listopada. W szpitalu Mährisch Weisskirchen.

7 listopada. W szpitalu w Mährisch Weisskirchen. Od biedy mogę chodzić już na dwu nogach.“

Grudziński nie mógł się doczekać wyzdrowienia i tak za pierwszym razem, jak za drugim, gdy był ranny pod Wszachowem w maju — uciekł ze szpitala do linji.

„8 listopada. W szpitalu. Leżałem cały dzień“.

Potem, prócz stale powtarzającej się wzmianki o odwiedzinach tych Polek, krótkie i lakoniczne: „W szpitalu“. Widocznie przedwczesnem wstaniem nadwreżył sobie nogę i musiał być leżeć.

„14 listopada. W szpitalu. Już chodzę.

15 listopada. W szpitalu. Prosiłem doktora o puszczenie do Krakowa, ale się nie zgodził“.

Dnia 21 listopada, otrzymawszy urlop, wyjechał Grudziński ze szpitala za pułkiem.

„28 listopada. Przyjazd wozem do Jurkowa, do pozycji strzeleckich. Zameldowałem się u Piłsudskiego“.

Od końca listopada aż do połowy grudnia powtarzają się, prócz notowania marszów i kwater, dwa słowa — „w sztabie“ lub „przydzielenia jeszcze nie mam“.

Grudziński niecierpliwił się, ustawicznie rwał się z powrotem do swej kompanji, mimo, że niedogojona jeszcze rana nie pozwoliłaby mu podjąć trudów piechura.

Aż 19 grudnia przyszło to przydzielenie; zapiska, w przeciwieństwie do innych, atramentowym ołówkiem i staranniejszym charakterem: „Nowy Sącz. Otrzymałem tymczasowo komendę bataljonu IV-go, obecnie I-go w pułku 2-gim (Norwida). Cały dzień zeszedł mi na obejmowaniu czynności“.

Jako komendant bataljonu, walczył Grudziński pod Łowczówkiem, gdzie doskonale wywiązał się z zadania.

Po tej bitwie odwołany do sztabu, pracował w nim w czasie pobytu w Lipnicy Murowanej, następnie zaś podczas przemarszu do Kęt, jako kwatermistrz.

24 stycznia 1915 został Grudziński komendantem placu w Kętach.

Znowu notatki stają się nadzwyczaj lakoniczne, czasem ograniczające się do suchego zanotowania daty, i—„komenda placu“.

Na posterunku tym zachowywał się i pracował młody porucznik znakomicie, zaprowadzając wybornie rygor koszarowego życia. Mimo, że musiał być z racji swego urzędu wyznaczać kary, zamykać do kozy, etc., nie umiał i nie potrafił nikogo sobie narazić.

„9 lutego. Robota w komendzie placu. Cały dzień jestem chory ze szczepienia. Wieczorem z Dzeduszykim na zabawie stajennych.

10 lutego. Robota w komendzie placu”.

Od 10-go do 14-go tylko dwa słowa w pamiętniku —: „Komenda placu”.

Aż *15-go lutego* rzecz charakterystyczna:

„Rano zbudziłem się, mając przykry sen. Śniła mi się wróżka, która zapowiedziała mi, że zginę „za ośm dni od jutrzejszej daty. Nie wierzę w to, bo niema w tem mojej woli”.

Szedł na wojnę z silnem, dumnem przekonaniem, że i tu żaden przypadek dowolny stać się nie może, że i tu — jak w czasie pokoju uczynki swe i postąpienia — będzie w rozkazach własnej woli trzymał swe życie: że wbrew swej woli nie zginie.

Przecucie śmierci nie powtarza się już więcej na kartkach pamiętnika Grudzińskiego.

Po wymarszu z Kęt do Królestwa brał udział porucznik Grudziński we wszystkich bojach I-ej Brygady nad Nidą, następnie w bojach pod Konarami, wreszcie detaszowany z bataljonem VI-ym (drugim 3-go pułku I-ej Brygady) walczył pod Żernikami.

Cały ten okres, od lutego do czerwca, cechuje ta sama zwięzła oschłość, ta sama prostota, z jaką notował swe życie wojenne na pierwszych stronicach. Można stanowczo powiedzieć, że ten rok wojny i tylu trudów, bólów, doświadczeń, w niczem Grudzińskiego nie zmienił. Był on przygotowany na to wszystko już przed wojną, w czasie pokoju — surową i wzniosłą atmosferą gotowości bojowej żył zawczasu.

Nagły, cudowny rozwój wojska polskiego z kadr w armję mocną i dzielną nie wywołałby na kartkach pamiętnika burzy radosnej. Grudziński żył już stale w domniemaniu tej armji, która wielką stać się musi.

Oto opis ostatniej bitwy, w jakiej Grudziński brał udział:

23 maja. Do południa w okopach w Wszachowie, po południu koło godz. 2 ruszyliśmy długą linią tyraljerską przez las Łapiguz z Wszachowa w kierunku na Baranówek. Obsadziliśmy wschodnią część lasu; przez czas ciągnięcia naszego przez las linja urwała się i ja jeden z częścią kompanji zaszedłem dobrze, reszta wszystko za dużo na prawo i później trzeba było wszystko naciągać na północ. Tutaj okopaliśmy się na skraju lasu i czekaliśmy. Po południu od prawego skrzydła austriackiego rozpoczął się atak austriacki. My także poszliśmy naprzód: w linii tyraljerskiej 3 kompanja,

mająca kierunek (?) i II i III pluton kompanji 4-ej. (I poszedł w rezerwie, jak również inne kompanje.) Szliśmy przez Baranówek na Żerniki. Koło Baranówka rozpoczął się silny ogień artylerji rosyjskiej na naszą linję (ranni Bury i Zaremba). Dochodząc do Żerników, byliśmy coraz silniej ostrzeliwani, a w Żernikach ogień skoncentrował się tylko na nas. Padł zabity Darocha, ranny Słowik, kapral Kondysar, Engler, Mach, podporucznik Dojan, Rotułowski.

Ja dostałem kulą szrapnelową lekko w bok. Opatrzył mię sanitariusz Belohlawek, poczem nie doszedłem już do linji utworzonej na wzgórzu, na wschód od Żernik.

Wywieziono nas wozami przez Baćkowice”.

Ani słowa żalu nad zgonem Darochy, który był osobistym przyjacielem Grudzińskiego. Ani słowa współczucia dla żołnierzy, których Grudziński tak kochał. Ileż razy zgarniał, gdzie się dało, orzechy i z pełnemi kieszeniami szedł do szeregowców, lub na „bibę” do plutonu! Ile razy w Kętach częstował nocne warty cukierkami i cygarami, skrzętnie przez siebie dla żołnierzy zbieranemi. Więc nie brak czułości i serca powodował Grudzińskim; nie to było powodem oschłości notatek, tylko, że, będąc sam na sam z sobą, że, pisząc historję swych wojskowych wydarzeń, utrwał jedynie rzeczy powszechnego, przedmiotowego znaczenia.

Ta właśnie miara podziw wzbudza i głębokim napełnia szacunkiem dla charakteru tego oficera, który stale i bezmiennie ujmował się w kategorjach obranej przez się sprawy.

Odwieziony do szpitala w Jędrzejowie, uciekł stamtąd Grudziński i już 27 maja meldował się w sztabie, przebywszy drugiego dnia podróży 60 km. Następnego dnia dotarł już do swej kompanji i zpowrotem objął nad nią komendę w okopach koło wsi Żernik.

Idą już dni ostatnie.

1 czerwca. Żerniki, okopy. Dzień słoneczny, piękny. W okopach nie chce się nic robić. Strzelałem trochę z rosyjskiego karabinu w stronę Moskali. Zresztą bez wypadków.

2 czerwca. O 1-szej godz. rano zaalarmowały kompanję strzały i krzyki „hurra“, na lewo od nas. Wysłałem patrole dla stwierdzenia rzeczy. Moskale w sile 1-nej kompanji zaatakowali placówkę 1-szej kompanji. Placówka, napadnięta z tyłu, przebiła się przez Moskali do okopów. Dwóch naszych wzięto do niewoli, czterech rannych (od bagnetu i granatu ręcznego). Placówka dostała pochwałę od oberstlejtnantsa Dückelmana. Moskali wzięto dwóch do niewoli i jednego rannego. Jeńcy zeznali, że mieli zabitych, ale ich zabrali. Rano wcześniej poszedłem na patrol z Kowalikiem i napukałem się do woli z rosyjskiego karabinu. — Dzień później przespałem. Wieczorem na odprawie w bataljonie, fasunek etc.“

Na tem kończy się pamiętnik. Następnego dnia zginął Grudziński pod Modliborzycami, prowadząc patrol pod okopy nieprzyjacielskie. Nie dał się wziąć żywym. Śmiertelnie ranny w głowę, strzałem w serce przerwał swe życie. Wróżka, która mu przepowiadała, omyliła się co do daty, lecz nie co do rzeczy samej. Gdyby Grudziński mógł, gdyby to było możliwe, nie więcej w pamiętniku o śmierci swej napisałby, jak tylko, że zginął,

nie mogąc oddać najstarszemu po sobie oficerowi dowództwa kompanji.

Z pamiętnika ś. p. Franciszka Pększyca-Grudzińskiego przyłączam poniżej ustęp p. t. „Znaczenie musztry w wychowaniu żołnierza i w organizacji wojska“, zawierający poglądy porucznika na jedną z najważniejszych spraw wojska.

„Armja jest wykonawczynią myśli i zamierzeń danego narodu czy państwa, jest siłą porządkującą i normującą stosunki nazewnątrz i nawewnątrz wymienionych jednośc. Samo istnienie jej i potrzeba tegoż wskazują na konieczność posiadania przez nią podstawy moralnej, to jest świadomości celu, dla którego istnieje.

Armja, świadoma celu swego, zyskuje na sile — może wyrównać i zastąpić słabość liczebną względem przeciwnika. Przykłady na to widoczne są z każdej strony historii — bierzmy np. wojnę rosyjsko-japońską, lub choćby mały epizod z niej, bitwę pod Sandepu: kilka świadomych siebie i pełnych zapału kompanij japońskich bije zwycięsko bezduszną dywizję rosyjską.

Warunkiem bytu armji jest organizacja. Nazwa ta obejmuje nietylko zewnętrzne ułożenie i uporządkowanie wszystkich instytucyj, tworzących daną armję, ale także ducha, ożywiającego te instytucje i nie dającego zastępnąć im w bezdusznym formalizmie. Zewnętrzną zatem formę wspiera wewnętrzna jej siła, wola kielzająca i skupiająca w jednym kierunku rozbieżne dążności jednostek.

Organizacja armji ogranicza w wielu wypadkach wolę jednostek na rzecz wyższej jednostki, ogółu, przez co łączy wiele rozbieżnych sił w jedną i nią uderza.

Wiele jednostek, skupionych organizacją wojskową, ginie w bitwie, a jednak siła moralna tej organizacji żyje i zwycięża, nie znać ubytku w poległych.

Nie mogę rozpisywać się tutaj, niema bowiem na to czasu i miejsca, pomnę zatem wiele rzeczy, choć jednak zwrócić uwagę na to, co mnie zajmuje w organizacji wojskowej i na co dużo zwracałem uwagi przed wojną i w czasie wojny.

Rzeczą tą jest to, co daje siłę i podstawę organizacji wojskowej, to jest musztra.

Wiele jest mniemań, że ostatecznie można się bez niej obejść, że w dzisiejszej wojnie, w której tak wiele wybija się indywidualizm jednostki, jest musztra nawet już niepotrzebną. Mniemanie podobne jest z gruntu fałszywe i wypływa z niedostatecznej znajomości historii wojen a nawet ludzi.

Rewolucje, w których masy brały udział, o ile miały się utrzymać, tworzyły jak najszybciej uporządkowaną siłę wojenną i nią działały.

Trzeba tylko zrozumieć, że wymusztrowanie żołnierza, objawiające się, dajmy na to, w szybkości jego zwrotów, w postawie, w jednolitości ruchów z innymi, nie zabija wcale indywidualności żołnierza, ale, owszem, ją wzmacnia, jest środkiem do spotęgowania jego dzielności i bitności.

Wielką zaletą w bitwie jest zachowanie spokoju i zimnej krwi. Spokój ten i pewność siebie da żołnierzowi tylko musztra. — Wezmę tylko jeden przykład z wojny francusko-pruskiej 1870 r., z bitwy pod Gravelotte. Jeden z bataljonów pruskich w czasie silnego ognia artylerji nieprzyjacielskiej zawahał się i okazał skłonność do ucieczki. Zorientował się w sytuacji je-

den z młodych oficerów i dobrze wyćwiczonym żołnierzom zakomenderował ruchy bronią. W jednej chwili bataljon odzyskał potrzebny spokój. A wojna polsko-rosyjska 1831 r. okazała, że na placu boju najlepiej były się te pułki, które najlepiej występowały na placu Saskim na paradach.

W tem widzę znaczenie musztry (naturalnie, nie biorąc tego w sposób przesadny) w wyrobieniu pewności siebie i spokoju w żołnierzu.

Weźmy naprzykład dwie kompanje, jedną wyćwiczoną i jedną sklejoną nagwałt — obie zaś pałające żądzą walki.

Kompanja wyćwiczona umie dobrze ładować broń, żołnierze ćwiczyli to wiele razy na tempa, mają pewność i szybkość w otwieraniu zamków, w składaniu się etc.; w wychowaniu ich zwracano uwagę na szczegóły, poprawiano ich ruchy.

Kompanja niewyćwiczona psuje tylko przy ładowaniu karabiny, łamiąc naprzykład podajniki wskutek złego nakładania nabojów.

Przychodzi czas bitwy. Kompanja wyćwiczona zachowa spokój, nie będzie się denerwować, żołnierze będą dobrze nabijać karabiny, składać się i strzelać.

Kompanja słabo wyćwiczona straci odrazu spokój, zaraz przy pierwszym repetowaniu lub ładowaniu.

Spotkałem wielu żołnierzy, którzy opowiadali o utracie spokoju i przestachu wskutek trudności przy ładowaniu karabinu, spowodowanej np. niezupełnem otwarciem zamka, czego nie mogli szybko spostrzec, wskutek niebaczenia na szczegóły przy ich musztrowaniu.

Tak więc musztra wytwarza pewność siebie u żołnierza i wprawia go w pewien stan napięcia wojennego.

Postawa „baczność!” nasuwa żołnierzowi myśl ataku, instynktowne odczucie, że cofnąć się nie można przed niczem. Zbiorowisko ludzi, ujęte w formy przez musztrę, zwiększa olbrzymio swoją siłę — karność i spokój daje się odczuć już zdaleka. Pod Leuthen pierzcha nieprzyjaciel w popłochu na sam widok pruskiej piechoty, w żelaznym spokoju ruszającej do ataku.

W wytworzeniu więc nastroju wojowniczego i napięcia ducha w żołnierzu leżą znaczenie i konieczność rozumnie ujętej musztry, która tem samem jest jedną z najkonieczniejszych podstaw organizacji wojska, wytwarzając karność, a tem samem dając możność uderzania i działania masami ludzkiemi w pewnych kierunkach dla ogólnych celów.

Tur-Piaski, 16 kwietnia 1915”.

PRZYKŁAD MĘSTWA I POKORY KAPITAN KAZIMIERZ PIĄTEK (HERWIN)

Idzie się tu przez wieś, za sobą zostawiwszy rozfalowane, młode pola, schodzi się sypką drożyną aż do parowu i zboczem w górę, ku ścianie wielkich, szumiących dębów.

Po jednej stronie tej żywej, głośnej ściany spada brzeg, porośnięty wszelakim kwiatem zbłądzonym.

Po drugiej płyną łąny młode w stronę innej wsi, ku rozrzuconym wśród pól drzewom i jeszcze dalej ku tym smętnym urokom, co tają się przy brzegach horyzontu.

Na tle tej ściany dębów, w szumie drzew tęgich i czcigodnych, jakby w oddechu bezmiernego spokoju i powagi, wznosi się biały krzyż, z zawieszonym przez ramiona wieńcem uwiedłego bzu.

Pod krzyżem mogiła z darniny, około niej brzozone balaski, opodal także ławeczka z biało-srebrnych pni: iżby tu można było przyjść i — głowę na rękę oparłszy i oczy utkwivszy w niebieskiej pamięci błękitu — iżby tu można było wspominać, marzyć.

Tak więc w tem ogrodzeniu białem, jak w białej kołysce, leży mogiła. Na niej kilka naboi i jeszcze kwiaty powiędłe. Wdół na zbocze, pada błam świeżo wzruszonej gliny. Naprzeciw krzyża i potężnej ściany

dębów występuje białoziarna brzoza, jedna, jedyna wśród tych drzew poważnych, lekko wiotkimi warkoczami głaszcząca ciężkie liście dębów.

„*Tu leży Kazimierz Herwin (Piątek), kapitan Legionów Polskich, Brygady Piłsudskiego. Zginął pod Kozinkiem dnia 19 maja 1915*“ — odczytać można na małej, drewnianej tabliczce, przybitej u stóp krzyża.

Kazimierz Piątek-Herwin, syn malarza, urodził się w r. 1888 w Krakowie, tam ukończył gimnazjum i studiował filozofję. W roku 1911 wstąpił do Związku Strzeleckiego, w którym pracował bardzo gorliwie. W 1913 został komendantem szkoły oficerskiej, z końcem tego roku komendantem okręgu podgórskiego.

Po wypowiedzeniu wojny Rosji, wyszedł z pierwszym oddziałem, jako dowódca plutonu. W Miechowie dostał kompanję, a we wrześniu bataljon VI-sty. Pod Krzywopłotami bataljon VI-sty objął kapitan Fleszar. W grudniu otrzymał Herwin bataljon I-szy pierwszego pułku. Z bataljonem tym walczył pod Łowczówkiem, gdzie był ranny 23/XII.

31 stycznia 1915 r., jeszcze nie wyleczony, powrócił do Brygady, w kilkanaście dni później otrzymał dowództwo nad bataljonem V-ym.

Zginął podczas szturmów swego bataljonu w lesie pod Kozinkiem, wśród burzy i piekielnego huku kanonady, w potężnym zgiełku nieba i ziemi, rażony kulą w głowę.

Człowiek pełen spokoju i niezrównanej godności. I prostoty. Towarzysz i przyjaciel swych żołnierzy, przykład męstwa i szczytnej pokory, człowiek najłagodniejszego słowa i najsurowszego uczynku. Najlepszy syn Ojczyzny i najbliższy, której skargi bolesne słyszał

w latach niewoli chyba, jak święci słyszą słowa i upomnienia Boże.

Nieprzytomnego znieśli żołnierze do wąwozu. W męczarni pogrążone ciało powieźli do wsi, wolno, w mroku, drogą zawałoną przez strudzone okrutnym bojem oddziały...

Na czarnem, bezgwiezdne niebie ważył się wciąż świst armatnich wystrzałów.

Mieliśmy wszyscy nadzieję, że Herwin wyjdzie z tego ciosu, że natura jego tak tęga, zdrowa, sposób życia tak ogromnie prosty i wstrzemięźliwy — zwyciężą. Ciężko ranny zmagał się jeszcze ze śmiercią, aż go przemogła.

Dnia 20 maja zgasł.

Odbył się pogrzeb, najlepszy, na jaki nas wówczas było stać.

Otwartą trumnę złożono na łące... Lud wiejski osypał ją kwiatami.

Tu, ostatni raz, dziwnie w zacisku śmierci dumna i wzniosła twarz Herwina patrzyła w niebo..

Dzień był biały, powietrze huczało wciąż od wystrzałów.

Wartę honorową trzymali przy trumnie ułani.

Tu ostatni raz widziała twarz Herwina blask legjonowej broni, tu brzmiał wokoło niego po raz ostatni jej dźwięk.

Oficerowie przybili wieko.

„Jeszcze Polska nie zginęła“ — odegrali po trzykroć muzykanci.

W pogłosie bojów z przed stu lat, w żalu żołnierskich spojrzeń, resztki tego, co duchem było i mocną dźwięnią najdzielniejszych, zeszyły w ziemię...

Na tle rozłożystej ściany dębów, w oddechu szumiącym, rzekłbyś, tchnieniem łaskawej piersi kołysany, usypia Herwin na wieki — przed Nim zaś pola biegną i złocą się chałupy, i ciągnie się wdal to wszystko — to wszystko, czego bronił tak mężnie... A nad głową, wśród dębów, brzoza warkoczami wiejąca i wysoko, wysoko, czułe pytania ślicznego głosu wilgi...

DLA KOMPANJI

Jakób Darocha, porucznik I-ej Brygady, zginął 23 maja 1915 r. w Żernikach, podczas szturmowania VI-go bataljonu, gdy szedł naprzód przed kompanją dla zbadania pozycji.

Tak ginie większość oficerów Brygady. Jest to już poniekąd wspaniałą banalnością: dla zbadania pozycji. Dla wynalezienia miejsca, w któremby jak najmniej strat poniosła kompanja.

Działo się to w maju 1925 roku, wśród najpiękniejszej pogody i rozkwitu ziemi. Z miesiąca marzeń młodzieńczych przeistoczył się nam ów maj, zaiste, w miesiąc walki. Wierzymy — musi się stać, o co walczyliśmy i ginęli, jeśli zapomnieć mamy krew na zbożu i mogiłę pośród łąki!

Darocha urodził się w Sokołowie koło Rzeszowa, lat 26 skończyłby tego roku w lipcu. Śmierć go jednak spotkała i zaczął inne lata, nieskończone już nigdy w wielkiej pamięci Narodu.

Do gimnazjum uczęszczał w Rzeszowie, na uniwersytet (prawo) we Lwowie. Od początku wojny służył w VI-ym bataljonie I-ej brygady. Założył był Związek Strzelecki w Sokołowie, tamże Koło i Czytelnię T. S. L. Bił się pod Laskami, Krzywopłotami, Łowczówkiem. Podczas wojny prowadził dalej wśród młodzieży pracę oświatową w szeregu... Urządził tu rodzaj lotnej szkoły

dla analfabetów, a najpilniejszym wyznaczał nagrody. Był komendantem swego plutonu i jego nauczycielem.

Tak, jakby czasem to, co cały naród zaniedba, wcieliło się w jedną młodą pierś, jedno gorące serce — póki tego serca stanie i póki pierś nie pęknie.

* * *

Mieczysław Kwiecieński (Oset) urodził się w 1893 w Kieleckiem. Tutaj skończył handlową szkołę. W r. 1911 wstąpił w Leodjum do Związku Walki Czynnej. Należał — jako filareta — do tego grona młodzieży w Belgji, które odnowiło na emigracji dawne polskie tradycje. Jako porucznik, dowodzący 4-ą kompanją II-go bataljonu 5-go pułku brygady Piłsudskiego, zginął pod Przepiórowem 23 maja, w dzień Zielonych Świąt po południu.

Właśnie gdy szukał dogodniejszej pozycji dla swej kompanji... kula przeszła mu piersi, a wieczorem tego samego dnia zmarł w szpitalu polowym. Historia naszych bojów zapamięta kompanijnego — Oseta. Był mężnym, wiernym żołnierzem. Ale jak sprawić, by wdzięk tego młodzieńca nie zginął bezpowrotnie?...

Porucznik Oset, w czasie ataku 5-go pułku I-ej Brygady na Małżyn, Beradź i Swojków, bardzo zręcznie prowadził swą kompanję. Udało mu się tak szczęśliwie przesunąć jej linje, że unikały stale morderczego ognia artylerji. Widzieli go wówczas żołnierze, jak stał pod drzewem i wymachiwał białym prętem, obłupanym z kory.

Jest we zwyczaju, że mali chłopcy bawią się w wojnę, w różne dziwne przygody, a kijów takich, świeżym sokiem ociekających, używają za miecz, berło, czy za znak dowództwa.

Niechże się stanie, by za lat dziesięć, trzydzieści, wiedzieli mali chłopcy, że porucznik Oset pręcią taką świetuie do ataku prowadził swą kompanję. Gdy na wiosnę łożę młodziutką z kory obedrą, niechże się stanie, by wiedzieli, że tak samo czyniły kiedyś ręce idącego w śmiertelny bój porucznika.

Niechże się stanie, by się im, jako przykład, nawiązał wcześniej, już w chłopięcych zabawach, marzeniach o tej dawnej porze: — gdy wiklina sokiem wiosny opływała, a młody porucznik broczył krwią...

* * *

Juljusz Bagniewski, podporucznik VI-go bataljonu I-ej Brygady.

Znaliśmy Go wszyscy tak dobrze...

Nie mogłem dowiedzieć się tych paru formalnych dat, gdzie się urodził, tych paru od — do... Na szczęście, nie mieści się Bagniewski w datach i nicby one o nim nie powiedziały.

Zginął w maju 1915 r. pod Wszachowem.

Był z rodu polskich tułaczów, żyjących „jak ptak na gałęzi“, pędzony koleją buntu polskiego z miejsca na miejsce. Znał chyba cały świat — wszędzie próbował szczęścia i chleba... Na wielu gospodarczych sprawach życia Narodu znał się tak dobrze i głęboko, że niepodobna sobie wyobrazić, by miał w nich już nie wziąć udziału. Wiele serc tak miał bliskich sobie i oddanych, że niepodobna tej wielkiej odległości zrozumieć, jaka go od nich przedzieliła.

Niema już między nami tego cierpliwego podróżnika...

Ja zaś wciąż widzę Bagniewskiego, jak wtedy, raz ostatni, po przejściu Nidy w najprześlizniejszy dzień wiosny, przed wsią kwitnącą, zaraz za Pińczowem. Opodal maszeruje długa kolumna piechoty, szara od kurzu, Bagniewski zaś przy chacie spoczywa na przydrożnym kamieniu.

Wdali wszystkimi kwiatami pstrzą się łąki.

Bagniewski siedzi w rozchełstanym mundurze, zdjął czapkę, ociera zgrzaną twarz. Maszerujące kolumny przeprowadza spojrzeniem, pełnym szczęścia, dumy i miłości. Już za nami nie pójdzie, nie wydaży, szarem skrzydłem kurzawy przykryty — czeka, póki wiadomość do Niego nie wróci, że znów naprzód idziemy — zawsze naprzód.

SREBRNE SZNURY WE KRWI

Stefan Krak-Dudzieniec, podporucznik jazdy I-ej Brygady, padł 30 czerwca 1915 r., gdy szedł ku okopom rosyjskim do szturm. Jakoby srebrne sznury od kasku, przy ramieniu wiązane, ściągnęły na niego baczniejszą uwagę strzelców rosyjskich...

Padł rażony kulą, gdy w pełnym rynsztunku i blasku, rosły, ogromny i piękny szedł na nieprzyjaciela. Srebrne sznury we krwi...

W tej nagłej, pysznej śmierci rozwiązało się życie nader męznego żołnierza, w ułańskiej, zapalczywej potrzebie zgiął silny, twardy charakter, którego śmierć jest ostatnią, a tyle świetną ozdobą.

Trzebaż było widzieć Dudzieńca!

Wzrostu ogromnego, wspaniale zbudowany, twarz smągła, piękna i rycerska.

Rycerskość owa, mimo tak znakomite zewnętrzne pozory, nie była rzeczą dla Dudzieńca łatwą. Potężną jego postawę toczyła choroba. Już w czasie wojny z powodu krwotoków musiał być kilkakrotnie odpoczywać.

Lecz zawsze wracał...

Jako bojowiec jeszcze, aresztowany w 1906 r., bądany, sądzony, zesłany na Sybir (do gubernji irkuckiej), wyrwał się stamtąd i wrócił do Lwowa w r. 1913.

W chwili wybuchu wojny, przeprowadziwszy we Lwowie uchwałę o przelaniu funduszków Bratniej Po-

mocy na organizację wojskowe, stawiał się w komendzie Strzelca w Krakowie.

Szóstego sierpnia, w przedniej straży pierwszej kadrowej kompanji, wrócił do Królestwa, jako kawalerzysta bez konia, siodło niosąc na grzbiecie. Lecz wracał...

We wrześniu mianowany został kapralem w czwartym plutonie 1-go szwadronu. W październiku wachmistrzem. Po rozprawie pod Uliną awansował na wachmistrza-szefa, w listopadzie zaś na podporucznika plutonu 1-go szwadronu.

Pochowany jest w Bidzinach na cmentarzu.

Wracał dotąd zawsze, a oto srebrne sznury we krwi — i już nie wróci ani do swej wsi Dudzienki, ani ku nowym uchwałom młodzieży... I do Królestwa z siodłem na plecach nie wróci, by się konia dorabiać w ciężkiej służbie ułańskiej.

Zaprawdę — niepodobna pomyśleć, iżby ta postać tęga i świetna leżała bezwładnie na marach, i że na tarłowskim polu razem z krwią spłynęło w ziemię tak wielkiego charakteru i męstwa pełne życie.

Jeno, że Dudzieniec jest z tych, którzy wracają w Polsce wiecznie.

W rozwalonych izbach siedzą przesmutne staruszki, a wedle nich płaczą maleńkie, opuszczone dzieci... Ze zgliszcz kurzy i tchnie czarną spalenizną... Na pustym strychu chałupy chyli się zapomniany kołowrotek, a na nim rozszarpane, jak polski los, wrzecziono...

To nic, że wielki ułan odchodzi stąd w sznurach srebrnych [skrwawionych].

Póki ten lud w niewoli, póki na kołowrocie wrzecziono rozszarpane — Dudzieńce będą wracali w srogim blasku i stroju ze strzałem na strzał...

O KAŻDY DOM, WIEŚ, STÓG...

Bijemy się teraz nietylko o pozycję, nietylko, by nieprzyjaciela złamać i zniszczyć. Bijemy się teraz nietylko o idee i całość sprawy. Bijemy się o każdy szczegół, wieś, dom, chałupę, o każdy stóg i snop.

Najmniejsza chwila jest w tej walce droga, cenna. Bo jeśli nadejdziemy o kilka minut wcześniej, to ocaleje dwór i wszystkie pamiątki szanowne, to ocaleje styl i wdzięki jego piękne. Bo jeśli przyjdziemy o kilka minut wcześniej, to ocaleje wieś i chaty się ostoją, i chłop nie pójdzie z pustymi rękoma na włóczęgę. Jeśli zaś przyjdziem tylko o kilka chwil później, z dworu i ze wsi czarne rany na ziemi zostaną i gnaty ruin, i nic więcej.

Moskale, cofając się, palą wszystko docna. Oficerów polskich, prowadzących tu walkę, ogarnia pośpiech nieustanny. Atak staje się szybszym, patrol prędszym — by nie dać, by ocalić. Bitwa jest tu nietylko bitwą, staje się misją.

W misji takiej bohatersko zginął młody podporucznik piechoty I-ej Brygady Legjonów, Roman Maksymowicz (Nawrót). Należał do rzędu młodziutkich oficerów Brygady, którzy dosłużyli się, a raczej dobili się stopnia oficerskiego na wojnie. Członek Drużyn Strzeleckich, instruktor ich w okresie przedwojennym w Nowym

Sączu, wyruszył jako szeregowiec z III-cim bataljonem I-ej Brygady. Walczył w jej szeregach rok cały, idąc powoli waziutką drabiną dostojęństw od szeregowca w górę do kaprala, — sierżanta. Po bitwie pod Konarami mianowany został podporucznikiem w 3-ciej kompanji I-go bataljonu 5-go pułku I-ej Brygady. — Jakież to były gratulacje i fety! Cóż bowiem piękniejszego od rzetelnej zasługi, uwieńczonej zasłużonym zaszczytem.

Wiem, że wówczas zawiózł go starszy brat (pseudo — Rokita) do sąsiedniego Klimontowa szykować wyprawę oficerską, bo młody oficer musi mieć wyprawę — jak panna. Trzeciego sierpnia Roman Maksymowicz na skrzydle kompanji, która atakowała wieś, właśnie podpaloną przez Rosjan, wyparł ich ze wschodniej jej części, ocalił ją, sam zaś padł na murawie sadu, rażony prosto w serce...

Pochowano młodziutkiego oficera w Jastkowie pod starym wiejskim krzyżem, przy którym szumi topola.

Zgromadzili się koledzy, stanął służbowy pluton, a u stóp starego krzyża wyrósł nowy, świeży. Zaśpiewaliśmy „Z dymem pożarów”, „Hej, strzelcy wraz”.

Mrok był już zapadł głęboki, gromada żołnierzy rozplynęła się w cieniach. Zdawać się mogło, że to nie chór żołnierzy, ale ziemia ciemna, szara śpiewa wokół mogiły, że tym śpiewem ziemia oddycha, że to mroki snują ów głośny żal za młodym oficerem, obrońcą chat, w serce trafionym na murawie wiejskiego sadu... Bijemy się o każdy dom, wieś, stóg... Jeśli przybiegniemy o kilka chwil za późno, z dworu gnaty zostaną, a we wsi czarne rany.

JAK ZIARNO W KŁOSACH

Wysoki nie należał przed wojną do żadnej organizacji politycznej, nie brał udziału w życiu partyjnym, nie ważył tych ciężkich i odpowiedzialnych spraw, które nurtowały młodzież polską w kraju i na emigracji.

Poprostu nie znał się na tem. Za to znał się na koniach, siodłach, był bardzo dobrym, uczynnym chłopcem, w miarę bawił, się w miarę uczył. Należał do tych, którzy bojkotowali szkołę rosyjską, a ukończyli polską, ale to raczej z wewnętrznej, głębokiej przyzwyczajoności, niż z świadomego przekonania.

A potem — jak mi to sam swego czasu opowiadał — Warszawa, muzyka, knajpa, „Renesans“, aleje, wiosna, zielony karnawał, rozumiesz chyba?!

I śmiał się jedynym, pysznym śmiechem, w którym odsłaniał białe, zdrowe zęby i czerwone podniebienie.

— Myślisz, że ja wiedziałem, kto to jest Piłsudski? Pierwszy raz pokazali mi go w Krakowie. Takem się zdziwił!...

Leżeliśmy na skłonie pagórka, po południu, pod Konarami, już dawno po bitwie. Z nudów ssaliśmy żdzbla trawy. Pogoda sprzyjała rozmowie. Przed nami

złociły się pola, blask słońca drżał w czystym powietrzu, a wiejskie sady okrywał granatowy cień.

— Więc nie znałeś nas?

— Nie.

— No i co?

— No i jestem z wami od początku.

Było to u Wysokiego aktem instynktu widocznie. Patrjotyzm jego wyzwolił się odrazu bez żadnego trudu, bez niczyjego zachodu i propagandy, tak szczerze, jak wiosna nastaje po zimie.

Wysoki odrazu wstąpił do szeregu i odrazu stał się doskonałym żołnierzem. Aby zrozumieć, jak się to dokonało, trzeba rozumieć rzeczy głębokie i szlachetne, które tkwią w psychice każdego wojowniczego narodu. Nie może tu być mowy o ofierze, jest tylko wysiłek radosny, konieczny, i wesoła pewność zwycięstwa.

Wysoki był cierpliwym, spokojnym i niezmiernie miłym żołnierzem. Jego śmiech miał w sobie coś ożywczego. Małe, figlarne, szare oczy, zadarty nos, małe, świeże usta, twarz smagła, dziecienna a stanowcza, ciemne kosmyki jakby fryzowanych włosów, wymykające się z pod wspaniałego kasku... Zgrabne, młode ruchy tego oficera tak szykownie harmonizowały z koniem, z mundurem ułańskim.

Przebył całą kampanję, od wymarszu z Krakowa, ani na chwilę nie tracąc werwy, animuszu, nadziei i pracą wojenną, wzorową, awansując stopniowo z szeregowca na podporucznika.

Ostatni raz widziałem Wysokiego w sierpniu pod Lublinem. Ścigaliśmy wówczas nieprzyjaciela, pracę naprzód całymi kolumnami.

Jakże się miał nie cieszyć Wysoki!

Nad nami niebo bez chmur, żywy atlas błękitny, bramowany u krańców gorejącą purpurą pożarów. Ku tym pożarom wszystkimi drogami, ścieżynami, miedzami idziemy, — jak odwet...

A przed piechotą w wonnym szeleście zboża, w niebieskiej ciszy zalęknionych wsi — pogania kawalerja!

Kwatera główna wypadła w Dąbrowicy we dworzec, przybudowanym do wieży zniszczonego zamczyska.

Z jakąż rozkoszą rozwaliliśmy się na wyścielanych meblach!

Ktoś wywlókł z kąta gramofon i nakręcał jedno za drugim: opery, marsze, romanse, tańce!

Zasypialiśmy z przyjemności!

Wysokiemu podobał się osobliwie jakiś walc, każał go sobie trzy razy powtarzać.

Był to walc zgrabny, leciutki, jak pajęczyna. Różne błahe żale przewijały się w melodji, różne drobne przekory i lekkomyślne sentymenty.

Wysoki wziął się za głowę i, kołysząc się w takt, wzdychał: — Bracie, muzyka, dorożki na gumach, Warszawa, aleje! Jaki świat!

W parę dni potem padł nad wieczorem w okolicach wsi Biadaczka, w linii tyraljerskiego zwiadu kawalerji, straszliwie rażony szrapnelem, który zmiażdżył mu pół głowy i oberwał ramię.

Przez cały Lublin wiedli trumnę, tonącą w kwiatach. Na ulicach tłumy zdjęte żalem serdecznym. Za trumną narzeczona, przez oficerów pod ręce wiedziona. Sztab I-go dywizjonu, dalej pluton drugi 1-go szwadronu konno (pluton Wysokiego).

Tak z ostatnią pobudką trębaczy odeszła już na
zawsze świeża, rycerska dusza Wysokiego.

Ale przecie nie może minąć i wygasnąć ów lekki,
naturalny, prosty wdzięk, z jakim w jednej chwili z bez-
troskiego młodzieńca przedzierzgnął się Wysoki z świet-
nego żołnierza.

Słowem, że jeszcze w poniekórych Polakach tkwi
waleczna miłość kraju tak właśnie naturalnie — jak
ziarno w kłosach.

W prostych a znakomitych uczynkach wojennych oraz w mężnej śmierci szeregowca I-ej Brygady, a zarazem doktora praw i radcy c. i k. prokuratorji skarbu, i dygnitarza c. i k. monarchji, i szanowanego obywatela, i mecenasa, melomana, właściciela pięknych zbiorów, doktora Adolfa Sternschussa, tkwi przykład nielada. Kryje się też głęboka przypowieść o prawdziwym, bez wszelkich ogródek, istotnem spełnieniu obowiązku.

Śmierć tego dzielnego szeregowca więcej ma w sobie życia, niż niejedno życie realne, a prostota jej więcej ma rozmachu i giętkości, niż niejeden rozmach i giętkość, tysiącem słów i gestów naprzykrzające się rzeczywistości.

Doktor Sternschuss bez najmniejszej dla siebie ujemy mógł sprawić mniej, niż sprawił. Mógł być sprawić dwa razy mniej i jeszcze otaczałby go najszczerzy szacunek.

W mniemaniu sfery, do której należał, mógł był wogóle nic osobliwego nie czynić, automatycznie spełniać swe obowiązki — a także byłby człowiekiem, który jest z samym sobą w porządku i godnie trwa na swem stanowisku.

Cóż bowiem ma czynić Polak na wysokiem stanowisku, gdy wybucha wojna światowa — a wpośród

morza wielkich płomieni zabłyśka świeże płomień nowej Bellony polskiej?!

Polak na wysokiem stanowisku nie zaangażuje chyba stanowiska w grę niebezpieczną i niepewną?! Niepewność i niebezpieczeństwo zostawi wiekowi, któremu one przystoją. Wesprze datkiem, ofiarą, pokrzepi godnem słowem, uroni łzę...

Weźmie udział we wszystkich sporach orientacyjnych i to — ostrożnie, gdyż zaszanować musi sobie opinię, gdyby go kraj po wojnie miał potrzebować.

Wy tam Polskę zdobywajcie, my Ją wam tu urządzimy...

Niema w tem nic złego, zaiste, ale też i wielko-duszności niewiele.

Doktór Sternschuss rozerwał kóleczko tego przesądu i stwierdził uczynkiem, iż mus, który stwarzają państwa w chwilach przełomu, istnieje w takich chwilach w Polsce — z dobrej woli. Stwierdził też, że, mimo obcej służby, patriotyzm nie stygnie, i że dobrobyt nie może być powodem ociężałości, i że majątek nie musi stanowić o braku ofiarności.

Gdy, uwolniwszy się z dotychczasowych obowiązków, nastął do czynnej służby Narodu — nie chciał korzystać z przywilejów, któreby mogły mu tu przysługiwać.

Często dziś wydaje się to ludziom niesłusznem i niepraktycznem. Jako — wołają — tyle wiedzy i stosunków poświęcać dla zadania, które może spełnić pierwszy lepszy?

A jednak takie zrzeczenie się przywilejów powiększa najcenniejszy skarb Ojczyzny, gdyż ukazuje doniosłość najpospolitszej posługi.

Tu więc rozłamał szeregowiec Sternschuss drugie koło przesądu: jakoby jedni gospodarzyć tylko mieli krwią ofiarną, a drudzy tylko wylewać ją mieli ze swych serc. Sternschuss, mający wszystkie dane na polityka, organizatora, głowacza, radcę, posła, jałmużnika — poszedł jako „zwykły“ szeregowiec I-ej Brygady w pole.

Posiadając doskonałe wykształcenie wojskowe oraz stopień porucznika c. i k. armji, mógłby był szybko awansować. Mógłby był ewentualnie zatrzymać w polskim oddziale swoją szarżę. Lecz prosił, by tego wykształcenia nie uwzględniano w posuwaniu go stopniami szarż.

I tu szeregowiec Sternschuss przewyciężył trzeci przesąd: jakoby można iść wgórę wojskowych dostojństw inaczej, niż na mocy zasługi wojennej, oraz jakoby można przychodzić do kadry Wojska Polskiego ze stopniem wojskowym, nabytym w armji zaborczej.

Zginął w walce, ostatni schodząc z pola.

Niema już pomiędzy nami tego szeregowca, przewyższającego wzrostem kolegów, żołnierza o pysznej, złotej brodzie lowelasa, szeregowca w monoklu, jednego z najlepszych kawalarzy I-ej Brygady!

Wieść skwapliwa i chełpliwa próżność opinji otoczyła jego pamięć pośmiertną wszystkimi tytułami, dostojenstwami, których rzekł się był dla munduru szeregowca.

Nie dziwota, że szeregowiec, który wypisywał tablicę na grób swego kolegi, doktora praw, radcy prokuratorji i porucznika c. i k. armji opatrzył tablicę ową we wszystkie tytuły. Wyraził tym sposobem rzadkość podobnego koleżeństwa.

Doktór Sternschuss, śmiertelnie ugodzony, chciał jeszcze coś napisać na polu walki. Zastano bowiem w rowie strzeleckim trupa z kawałkiem papieru i ołówkiem w rękę. Nie mógł już jednak skleić słowa — na papierze widniało kilka nieskładnych kresek rozplątanych.

Co chciał powiedzieć w tej chwili ogromnej, gdy go Ojczyzna brała w przeznaczony poczet nigdy niezapomnianych przykładów męstwa, cnoty i żołnierskiej skromności?!

Sądzę, że w tej chwili ostatniej kilkoma słowy zamierzał może rozplątać owe koła przesądu, w których zostało pokolenie jego rówieśników, owe koła potrójnej niewoli — wieku, stanowiska i szarży, które sam rozerwał bez wahania dla gorącej miłości Ojczyzny.

Gdyby nie przyszyła była wojna i gdyby organizacyjne życie młodzieży szło dalej trybem dotychczasowym — to na mnogich zebraniach, zjazdach i wieczach akademickich nie danoby nigdy pełnej wiary wystąpieniom Mansperla. Przemawiałby gorąco, krzątałby się skwapliwie. Niemniej jednak zebrani przyjmowaliby to zawsze z pewnym półśmiechem, mieliby nawet może względem kolegi pewien cień nieufności i niejednymby sobie pomyślał: jaki też interes, prawdziwy, osobisty interes ma Mansperl w trosce swej o walkę za Ojczyznę?...

Mansperl był żydem. — Istotnie, miał jeden wielki, prawdziwy, osobisty interes w walce za Polskę: przelewając za Nią krew, pragnął sobie zdobyć do Niej prawo, któregooby mu nikt odmówić nie śmiał.

Miał więc ten sam interes, który mamy nawzajem wobec siebie, w godzinie poświęcenia i ofiary. Ale tak właśnie bywa w życiu: gdy własny interes zowiemy bohaterstwem, bohaterstwo odmiennego od nas typu ludzkiego chętnie podejrzewalibyśmy o interes.

Cechę tę spotykało się w życiu stowarzyszeniowem nawet wśród ludzi i ugrupowań bardzo postępowych.

Cechy tej nikt chyba nie spotkał w I-ej Brygadzie Piłsudskiego.

Przed wojną należał Mansperl do odłamu tej młodzieży „nierozważnej“, która bojkotowała rosyjski uniwersytet warszawski, zabierała miejsca nam, Galicjanom, na naszych galicyjskich wszechnicach, albo włóczyła się po wszechnicach zagranicznych, marnowała tam grosz (80 franków miesięcznie) i, wielkim śladem szkoły w Cuneo idąc, organizowała się wojskowo (pieniędzy nie mają, a wojny się im zachciewa).

Mansperl należał w Paryżu do Filarecji i był jednym z założycieli tamtejszego Strzelca. Trudno się oprzeć wzruszeniu, gdy wspomina się ówczesną pracę młodzieży polskiej na emigracji i okoliczności, jakie jej towarzyszyły. Kilku, kilkunastu, potem kilkudziesięciu ubogich akademików wśród zamożnej naogół kolonii, głuchej na wszystkie apele, w mieście tak olbrzymiem i wspaniałem, wbrew wszystkiemu i wszystkim ćwiczy się wojskowo, radzi, urządza zjazdy, odnawia własnym kosztem groby żołnierzy-powstańców.

Emigracja młodzieży, brakiem szkół z Ojczyzny wygnana, pragnęła do Niej wrócić i z bronią w rękę o szkoły się upomnieć.

Wybuchła wojna. Mansperl znalazł się w pierwszych szeregach. Był dzielnym żołnierzem, a potem dzielnym oficerem.

Szczególnie dobrze go pamiętam w pewnym momencie z czasu naszych walk pod Limanową. Szliśmy nocą forsownym marszem. Droga wypadała przez dolinę. Wiatr siekł ostrym szronem, cienie się goniły sine po śniegu, a księżyc grażył wszystko w bladym świetle.

Byliśmy tak strudzeni, że zdawało się nam, iż wieczność całą już tak idziemy. Brnęło się po kostki

w wodzie, a pokruszone kawały lodu szklanym dźwiękiem towarzyszyły naszym krokom. Tam, na zakręcie ścieżki, spotkałem Mansperla, prowadzącego osłonę karabinów maszynowych. Wysoka jego postać rzucała wielki cień poza siebie. Twarz, oświetlona księżycem, zdała się trupio-błądą. Jasno-niebieskie oczy grały świecącym blaskiem. Ostry, semicki nos rzucał cień na wąskie usta, aż fioletowe z mrozu. Na szarem tle płaszcza znaczył się czerwony sznurek oficerski przez piersi.

Poszliśmy dalej razem, gadając o Paryżu i o kolegach z emigracji, którzy nie zawiedli pokładanej w nich nadziei.

Mansperl należał do wypróbowanych oficerów piechoty I-ej Brygady. Zaś wypróbowany oficer piechoty, to wielka rzecz — to cała akademja niezmiernych trudów, ciężkich niedostatków i wielkiego hartu ducha.

Poległ w sławnej bitwie pod Kukłami, otrzymując dwie kule w głowę.

Podporucznik Mansperl znany był w szeregach, jako Chaber. Skąd mu się wzięło na ten „polny“ pseudonim?...

Mniemam, że pseudo takie wybrał sobie z powodów osobistych.

Może natury romantycznej: z racji swych niebieskich oczu, jak chabry; które to oczy, kochane zapewne przez kogoś, chabrami nazywane, stały się wreszcie nazwą żołnierza. Albo, że pseudo takie wziął sobie z miłości prostej i skromnej do polnych kwiatów, w mniemaniu, że niema żadnego przedziału i różnicy między

popularnością takiego oto kwiatu polnego a popularnością ludzi z typu podporucznika Chabra.

Jeżeli te właśnie pobudki kierowały podporucznikiem Mansperlem, słuszne są i godziwe: ludzie, którzy znali jego życie i razem z nim walczyli w wspólnej sprawie, nie spojrzą chyba nigdy na ów kwiat polny, by im przez myśl nie przemknął zacny, kochany cień bohaterskiego Mansperla.

PIERWSZY ADJUTANT

Któż nie pamięta w Komendzie Strzeleckiej, w Krakowie, a potem na postojach pierwszego szlaku strzeleckiego, obok srogiej, skupionej postaci Komendanta, młodego porucznika Żulińskiego?

Twarz drobna i dziecinna, duże, naiwne oczy, rumiane policzki, małe, czerwone usta, śpiczasta, chłopięca broda, postawa smukła, wysoka — tak odbijały od groźnej powagi, jaka cechuje sylwetkę Piłsudskiego.

Gdy razem jechali w samochodzie, gdy razem szli ku pozycjom, lub gdy zatrzymywali się gdzieś na śpiesznym postoju, zdawać się mogło, że doświadczonemu Wodzowi towarzyszy wybrany niejako przedstawiciel ostatniego pokolenia najmłodszych, które zerwało się do walki.

To on, Żuliński, podczas pierwszych owych tygodni adjutantował Wodzowi. To on obowiązany był, towarzysząc robocie dowódcy, pamiętać wszystkie formalne i techniczne szczegóły.

Nie zapomnę, jak pewnego popołudnia owych pierwszych, nieprawdopodobnych dni sierpniowych, tych dni dziesięciu od 5 do 16 sierpnia, których nie krępowała żadna moc trójzaborcza, wpadł Piłsudski niespodzianie, przejazdem z Krakowa w drodze na Kielce, do Jędrzejowa.

Było to w porze obiadowej. Siedzieliśmy za stołem, w ówczesnym komisarjacie jędrzejowskim, gdy oto zaryczało przed bramą auto a za chwilę weszli z sieni Piłsudski i jego ówczesny oficer przyboczny, Tadeusz Żuliński.

Przyznać trzeba ówczesnemu pokoleniu młodzieży polskiej: rozumieliśmy, jak nikt jeszcze w Polsce, kim jest Piłsudski. Gdy ukazał się w drzwiach, zerwaliśmy się wszyscy, nie tak, zaiste, jak zrywają się żołnierze dla oddania ukłonu wojskowego. Zerwaliśmy się — było tak zawsze pomiędzy Nim a nami — jakby to przeznaczenie, żywy los Polski, Jej moc jedyna i jedyna nadzieja ukazały się w drzwiach!

Za Komendantem szedł szybko Żuliński, surowy, choć uśmiechnięty, poważny a tak niezmiernie szczęśliwy, że dane mu jest w tych chwilach pracować przy dowódcy.

Komendant zasiadł do stołu. Pragnął pokrzepić się po długiej drodze i chwilę odpocząć. Miał przecie wtedy na głowie całe wojsko swoje, wypchnięte już do Kielc, głodne i nieodziane, bohaterskie, lecz wszelkiej pomocy materialnej pozbawione. I dalszy ciąg swej mobilizacji, i równocześnie wielką, potworną intrygę, która oskrzydlała go już zewsząd, w Krakowie.

Ileżto już przepracowanych bez odpoczynku dni, ile nieprzespanych nocy!

W komisarjacie jędrzejowskim, niedokończywszy nawet zupy — zasnął. Nie śmieliśmy go budzić. Mógł to zrobić jedynie Żuliński.

Czekał aż do terminu, którego przekroczyć już nie można było. Wtedy pochylił się i lekko wziął Piłsudskiego za rękę. Gdybym się nie bał przesady, powie-

działabym — jakgdyby anioł budził lwa. Tyle siły i łagodności, i wiary było między tymi dwoma ludźmi.

Żuliński należał do żołnierzy, których Komendant szczególnie otaczał pieczę, to znaczy, którym powierzał najtrudniejsze zadania. Po uzyskaniu stopnia doktora medycyny, wyjechał Żuliński w 1913 roku do Królestwa, gdzie prowadził cały szereg organizacji strzeleckich.

Była to praca niewdzięczna, niebezpieczna a tak żmudna! Pracę tę podejmowali młodzi emisariusze na mocy natchnień proroczych wielkiego człowieka, któremu nikt prawie w ojczyźnie niedowierzał. I wierzyć nie chciał. I — wobec stosunków ówczesnych społecznych, narodowych, politycznych kraju i wszystkich trzech zaborów, i wobec stosunków w Europie, i wobec sytuacji na całym świecie — wierzyć może nawet nie mógł?!

Pracę tę podejmowali z natchnienia Piłsudskiego ludzie młodzi, najmłodsze pokolenie uniwersyteckie, nie mające chyba wówczas równego sobie w całej Europie, gdy chodzi o poświęcenie i patriotyzm. Jacyż to Niemcy, Francuzi, Anglicy młodzi ówczesnych czasów potrafiliby, jak młodzież owa, wierzyć wbrew wszelkiej nadziei? Wbrew wszelkim układom prawdopodobieństwa ryzykować wszystko?

Oficerem linjowym podczas wojny był Żuliński zaledwie dwa miesiące — sierpień i wrzesień. Wielkiej radości, jaką daje otwarta walka w polu, wypadło mu się zrzec.

Wysłany został do pracy podziemnej w Królestwie.

Praca, pośród najsprzeczniejszych pogłosek o ruchu polskim militarnym, wśród splecionej, obrzydliwej

orientacyjnej gęstwiny, wśród czcnych kataklizmów zebrań „opiniowych“! Walka z argumentami bezczynu, z „wschodnimi rynkami“, z „przelewem bratniej krwi“, o ile ta krew ma służyć celom polskim!

Na tem trudnem i ciężkiem stanowisku przetrwał Żuliński znakomicie, odprowadzając po oswobodzeniu Warszawy bataljon ochotników do I-ej Brygady.

Został ciężko ranny w brzuch w walkach z dnia 20 na 21 października 1915 roku na Wołyniu, pod wsią Kukle. Leżał w polowym szpitalu, tuż za linią we wsi, którą zdobywał kilka godzin temu.

Przyszły nowe rozkazy i linja zaczęła się przesuwąć. Młody adjutant i powiernik dni sierpniowych musiał już zostać na miejscu.

Śnieg właśnie upadł tego dnia, zaproszyło szronem drogi. Pogruchotana wieś, w której leżał Żuliński, napół znikła w zawiei, a na szare, rude pola wypełzły długie, suche ości białego nalotu.

Bataljony poszły już naprzód, już tabory przejechały. Jeszcze przekłusował drogą jakiś zabłąkany łącznik.

Porucznik Żuliński został sam, walcząc ze śmiercią.

Nie pomogła najstaranniejsza opieka sanitarna. Umarł z odebranej w walce rany śmiertelnej dnia 5 listopada 1915 roku.

NASI UŁANI

(Zima 1915 na błotach wołyńskich.)

Na jednym z naszych patroli zwiadowczych pluton ułanów 3-go szwadronu 1-go pułku jazdy legjonowej, pod dowództwem podporucznika Śmigielskiego, natknął się na przeważające siły rosyjskie. Uderzył na nie, jednak zaskoczony z boku i z tyłu, wzięty w silne widły oskrzydlenia, przebił się przez nie i po zażartej walce, mając za sobą do przebycia pół kilometra przestrzeni lodowej, dotarł do swoich.

W walce tej, nierównymi prowadzonej siłami, zginęli w boju wręcz, Tadeusz Oster-Ostrowski, wachmistrz, ułan Kasprzykowski Konrad, ułan Sałaciński Adam. Śmiertelnie ranny w brzuch, ułan Bejgrowicz Kazimierz (Bej) i ułan Woyna Janusz z roztrzaskaną nogą — dostali się do niewoli.

Cała zamaszysta sława polska, tak pięknie w sztuce i w powieści uwielbiona przez lat dziesiątki od czasu, gdy sławie nad złamanymi godłami stróżować wypadło, wszystek ów czar, który wzburzał pokolenie młodzieży polskiej po pokoleniu, wszystko, co jest w ułanie polskim najrdzenniejsze z postawy, z ruchu, z rzutu, z honoru i z koleżeństwa, zawarło się w tym boju ręcznym, który polegli ułani podjęli i prowadzili do

ostatniego tchu, do śmierci — dla ocalenia wycofującego się oddziału.

Składa się tak, że polegli ułani — to młodzież akademicka.. Składa się tak, że wszyscy z największym trudem, rozmaite zwalczając przeciwności, dostali się do ułańskich szeregów.

Jak to w Polsce oddawna bywa..

Bejgrowicz (ur. w r. 1899), absolwent szkoły handlowej w Radomiu, podczas wybuchu wojny znalazł się za kordonem. Do szeregów naszych dotrzeć było mu bardzo trudno. Musiał się być przedzierać przez front rosyjski. Ukrywał się więc, tułał, nocował po kościołach.

Złapali go.

Przesłuchany przez władze rosyjskie, zdołał się wykręcić, zmylił za sobą ślad, przeczekał, aż front się cofnie i w jakiejś wiosce za Wieprzem przyłączył się do następujących za nieprzyjacielem ułanów naszych, dnia 15 sierpnia 1915 r., otrzymując służbę w I-ym plutonie 3-go szwadronu 1-go pułku ułanów.

Ten wesoły, dzielny chłopiec był doskonałym żołnierzem i miłym towarzyszem broni.

Została po Bejgrowiczu w szwadronie fotografia z jego cywilnych czasów. Młodziutki „Bej” w mundurku sztubackim uśmiecha się na podobiznie wpośród zieleni i krzewów, obwiedziony jasną lamą słońca.

Sałaciński Adam urodził się w Piotrkowie 29 marca 1895 roku, wstąpił do Legjonów 15 października 1914 r. Do kawalerji przydzielony został 30 stycznia 1915 r. Cały czas służył w 3-cim szwadronie, jako ułan.

Kasprzykowski Konrad urodził się w Lubelskiem w 1892 r. Jako słuchacz lwowskiej politechniki, należał

przez trzy lata do Drużyn Strzeleckich. Od początku wojny do sierpnia 1915 r. spełniał ciężkie obowiązki w służbie wywiadowczej. Do kawalerji wstąpił 3 września 1915 r., jako ułan 3-go szwadronu I-go plutonu.

Tadeusz Oster-Ostrowski urodził się w Warszawie 1895 r., 8 sierpnia. Po ukończeniu szkół średnich w kraju, kształcił się Saint-Gallen. Należał przez rok do tamtejszego Strzelca. Wyszedł na wojnę z krakowskiej Szkoły Strzeleckiej w kadrowej kompanji. Wstąpił do kawalerji dnia 20 października 1914 r. Ranny pod Stobychwą we wrześniu 1915 r., wrócił ze szpitala, jeszcze niezupełnie wyleczony, do szeregu. W listopadzie został mianowany wachmistrzem.

Tyle mówią daty. Ale jakimi byli żołnierzami ci ułani?... Spytajcie rotmistrza, spytajcie dowódcę 3-go szwadronu, porucznika Głuchowskiego, co to byli za ludzie, ci, których musi wymazać z listy swego szwadronu...

— To byli — odpowie porucznik Głuchowski — dobrzy żołnierze, jak wszyscy. Każdy ułan zrobiłby to samo na ich miejscu.

Rannego na szpicy ciężko w brzuch Bejgrowicza wzięli na nosze i, odstrzeliwując się gęsto, cofali się z nim.

Wstrzymują jedno uderzenie. Pada ranny w nogę Woyna. Ostrowski nakazuje dalszy odwrót, a sam z Sałacińskim i Kasprzykowskim postanawia skupić na sobie napór setki Rosjan.

Rosjanie atakują. Ostrowski powala kolbą pierwszego napastnika i ostatnim ładunkiem rewolweru strzela sobie w skroń.

— Tadek, co robisz!! — krzyczy jeden z ułanów...

Pada raniony w nogę Sałaciński i broni się rewolwerem. Przebity bagnetem w brzuch, ginie od własnej kuli w usta.

Do Kasprzykowskiego, zwalonego postrzałem w brzuch, strzelają żołnierze rosyjscy i, myśląc, że go dobili, pędzą dalej.

Nadciąga odsiecz, którą prowadzi porucznik Skotnicki. Rosjanie z ciężkimi stratami wycofują się za swoje okopy. Porucznik Skotnicki, chociaż zachodził od tyłu, nie zastał ich już na pobojowisku. Zaczęto szukać rannych i zabitych. Po gęstych śladach krwi od strony rosyjskiej doszli wreszcie ułani do miejsca, w którym broniła się ma lutka a prześwietna arjergarda plutonu. Ostrowski leżał twarzą do lodu bez butów i kożucha, bez pierścionka i złotej bransoletki, którą zawsze nosił był na ręce. Ograbili go Rosjanie.

Poodal odnaleziono Sałacińskiego. Kasprzykowski doczołgał się do stogu siana.

Pierwsze słowa, jakie wymówił przez uśmiech radości, utrudzenia i walki do odnajdującego go kolegi, były: — Wiesz, Oster to bohater.

Ciężko rannego ponieśli żołnierze zpowrotem. Jego właśnie opowiadaniu zawdzięcza się szczegóły o wspaniałej walce Ostrowskiego i Sałacińskiego z Rosjanami.

Kasprzykowski zmarł dnia następnego.

W dzień śmierci, 14 marca, zaczął był list do rodziców, którego mu rana śmiertelna skończyć nie pozwoliła.

„Moi kochani” — napisane jest jeszcze równym charakterem. Następnym słów kilka chyli się coraz

bardziej, a litery ostatnich wyrazów zaplątują się raczej w szare węzły i supelki pajęczne, niż w znaki.

„Moi kochani! Bodaj, czy to nie jest mój ostatni list. Jestem ciężko ranny i może już nie przeżyję tej rany”.

Tu litery się płaczą, chwieją, drżą i już w drzeniu zanikają prawie.

„Nie smućcie się” — czepia się szara niteczka piśma po papierze — „przecież to wojna”.

Tak zginęli ułani: Ostrowski, Sałaciński, Kasprzykowski, życiem bujnym, krwią obfitą i bólem ogromnym świadcząc, jakie jest prawe koleżeństwo żołnierskie, jaka powaga broni, jaki blask honoru i jaki hart męstwa w młodym żołnierzu polskim.

OFICERSKA TYRALJERA

Piękna i groźna sława, jaka otacza szturmy japońskiej piechoty, zachwyty rycerski i rodowa duma, z jaką szli pod Portem Artura samuraje, wielki i nieśmiertelny szum płonących w zatoce branderów, sławne walki piechoty bułgarskiej w wojnie bałkańskiej, szalone skoki francuskiej infanterji z bagnetem w rękę, sportowa, bohaterka zasada piechoty angielskiej, straszna furja Bawarów, Bośniaków i Węgrów, znakomite upory piechura niemieckiego — te wszystkie najwyższe chwile męstwa i pogardy śmierci, w których ofiarowuje się Przyszłości duch ras i narodów, zaiste nie mogą nas już upokarzać...

W kronice znakomitych walk mamy swe własne miejsce. Na olbrzymich polach, wpośród potężnej organizacji boju dwóch światów, dorabia się już żołnierz polski zapomnianego tak długo imienia!

Bowiem myli się, kto sądzi, iż w chwilach straszliwej walki nowożytnej wystarczy przeciętne męstwo, poczucie honoru i obowiązku. Walka ta stwarza sytuacje tak groźne i straszliwe, że wymagają od żołnierza stokroć więcej, niż przewidzieć może ścisły regulamin, o wiele więcej, niż żąda kodeks honoru oficerskiego. By sprostać im, musi apelować żołnierz do najgłębszych podstaw swej duszy i pobudzić energję, na którą składają się całe pokolenia pracy i kultury...

Imię twoje!

Chwila walki jest chwilą objawienia się duszy narodowej w żołnierzu.

Z przemożną siłą wykazał swój charakter żołnierz polski, po tylu razach, raz jeszcze w bitwie pod Kostiuchnówką 4 i 5 lipca 1916 r.

Pierwszego dnia tych bojów, po całodniowym ogniu huraganowym, został otoczony przez nieprzyjaciela I bataljon 5-go pułku Legjonów Polskich. Trzeba było albo się poddać, albo przebijać z bagnetem w rękę.

Dowódca bataljonu, kapitan Sław-Zwierzyński, postanowił się przebić i zarządził kontratak. Rozpoczęli szturm sami oficerowie.

Oficerska tyraljera ruszyła, pociągając za sobą żołnierzy. Znaleźli się w niej wszyscy oficerowie bataljonu I-go 5-go pułku piechoty.

Niewiadomo, jakie będą i jak się rozwiną losy tego pokolenia, z którego najlepsi są dziś w wojsku polskim lub polegli w jego szeregach. Niewiadomo, jakie talenty i siły rozwiną się w tym zastępie młodzieży, który za lat kilka i kilkanaście dojdzie do dojrzałości. Niewiadomo, jaka rączność pracy, jaki dorobek zasługi i pożytku będzie udziałem tego zastępu ludzi.

W jego trudach i zasługach nie przyjmą już udziału najlepsi.

Oficerska tyraljera 5 lipca, w bitwie pod Kostiuchnówką prowadzona — to summum glorii, do jakiej dziś doszła walcząca młodzież polska. Ta oficerska tyraljera, idąca na tłum moskiewski tak luźną linią — to szczyt polskiego wychowania i polskiego obyczaju.

Czy widzi ich dzisiaj młodzież gimnazjalna, czy widzi młodzież polska, ucząca się na uniwersytecie warszawskim, czy rozumie ich polski mąż stanu?...

Czy widzi ich polski polityk — jak wyskakują z rowu w obręb śmierci... Jak młody kapitan Sław-Zwierzynski rozkrzyżowaniem rąk daje kierunek ataku... Jak z karabinem lub browniingiem w ręku, bez strzału, oficer w oficera — młodzież gołowąsa, szara, skromna i nieśmiertelna, porywa żołnierzy, rozbija falę piechoty rosyjskiej, biegnie naprzód.

W kontrataku tym, później w walce koło przejścia przez mostek, w kontrataku podporucznika Myszkowskiego, w szturmie, prowadzonym o świcie dnia następnego, i w walce podczas odwrotu stracił pułk, z dwóch bataljonów złożony, dwudziestu jeden oficerów.

Raniono ciężko podpułkownika Leona Berbeckiego, dowódcę pułku. Zginęli obaj dowódcy bataljonów, major Wyrwa-Furgalski i kapitan Sław-Zwierzynski.

Zginęli podporucznicy: Karwacki Zygmunt, Nehring Aleksy, Guzowski Stanisław, porucznik Hajec Jan, podporucznicy Charzewski Stanisław, Janicki Józef.

Ranni podporucznicy: Myszkowski Aleksander, Szwarzenberg Jerzy, Stefański Paweł, Mikulski Józef, Trapszo Tadeusz, Rowecki Stefan, Starzyński Roman. Sześciu rannych oficerów tego pułku dostało się do niewoli.

O zasługach poległych oficerów 5-go pułku da się powiedzieć właśnie tak niedużo, jak wiele mają oni wpisane w swe arkusze ewidencyjne. Brali udział we wszystkich bitwach I-ej Brygady, we wszystkich wojennych jej wyprawach: kieleckiej, warszawskiej, podhalańskiej, lubelskiej, poleskiej, wołyńskiej. Każdy z nich miał za

sobą kilkadziesiąt bitew i cały szereg świetnych zasług wojskowych.

Porucznik Hajec Jan urodził się dnia 1 grudnia 1891 w Książnicach, w pow. mieleckim (Galicja). Od roku 1911 — 1913 należał do Sokoła, od r. 1913 pracował w Drużynach Strzeleckich, w których przeszedł szkołę rekrucką i podoficerską. Później mianowano go zastępcą komendanta okręgu w Nowym Targu. Podporucznikiem mianowany 9/X 1914 w Jakubowicach, 16/XII 1915 porucznikiem. Dowodził 3-cią kompanją I-go bataljonu 5-go pułku, na której czele stojąc na okopach i bijąc w Rosjan ręcznymi granatami, wspaniale odparł atak 4 lipca pod Kostiuchnowką. Zginął 5 lipca, rozerwany granatem, w chwili gdy po zlurowaniu kompanji szedł do okopów sprawdzić, czy wszyscy jego żołnierze wykonali rozkaz. W czasie dwuletniej kampanji był na urlopie raz jeden tylko. Brał udział we wszystkich bitwach I-ej Brygady.

Charzewski Stanisław urodził się 24 kwietnia 1883 r. w Brzozowie (Galicja). Do gimnazjum uczęszczał w Sanoku, na uniwersytet we Lwowie. Należał do organizacji Związków Strzeleckich. Podporucznikiem mianowany został po bitwie konarskiej, 13 czerwca 1915. Brał udział w wyprawie kieleckiej, bitwach nad Wartą, w wyprawie podhalańskiej, w walkach pozycyjnych nad Nidą, pod Konarami, Urzędowem, Babinem, Jastkowem, Ożarowem, Kamionką, Ciemnem, Stasinem i w wyprawie wołyńskiej. Zginął 5 lipca, podczas kontrataku majora Wyrwy - Furgalskiego. Cały czas służył w 5-ym pułku, II-gim bataljonie, 2-ej kompanji.

Guzowski Stanisław, ur. 5 lutego 1891 r. we Włocławku. Jako słuchacz politechniki, należał do Drużyn

Strzeleckich (1912—1914); w r. 1914 wstąpił do Związku Strzeleckiego. Ukończył szkoły wojskowe: rekrucką, podoficerską i oficerską niższą. Dnia 27 maja 1916 r. mianowany został podporucznikiem w I-ym bataljonie 5-go pułku. Na początku wojny pracował organizacyjnie we Włocławku, następnie zaś od bitwy pod Łowczówkiem (grudzień 1914 r.) brał udział we wszystkich bitwach i wyprawach I-iej Brygady. Zginął 4 lipca w walce o przejście przez mostek, niosąc zwłoki kapitana Sława.

Janicki Józef, ur. 23 stycznia 1896 r. we Lwowie. Do gimnazjum uczęszczał w Rzeszowie, z zawodu był górnikiem. W r. 1912 wstąpił do Związku Strzeleckiego, ukończył szkoły: rekrucką, żołnierską i podoficerską. Był ranny pod Łowczówkiem i pod Konarami. Podporucznikiem mianowany został 3 czerwca 1915 r. Brał udział we wszystkich bitwach, zginął z 4 na 5 lipca w nocy, w czasie kontrataku podporucznika Myszkowskiego.

Karwacki Zygmunt urodził się 20 listopada 1893 w Pośmiechach (Kieleckie). Jako słuchacz rolnictwa w Krakowie, należał od r. 1912 do Drużyn Strzeleckich, gdzie ukończył wszystkie szkoły z oficerską włącznie. Spełniał funkcję adjutanta ekspozytury Komendy Naczelnej Drużyn Strzeleckich, następnie był komendantem rezerwy. Wyruszył z Krakowa w pierwszym patrolu Belfiny 2 sierpnia 1914 r. W kawalerji dosłużył się stopnia wachmistrza. Od września 1914 r. walczył w piechocie, w I-ym bataljonie 5-go pułku. Mianowany podporucznikiem 9 października 1914 r. w Jakubowicach. Był ranny pod Łowczówkiem. Od 1 marca 1915 roku pracował jako organizator siły zbrojnej w Radomiu, w czasie pobytu Rosjan. Wrócił w pole z bataljonem warszawskim 1915 r.

we wrześniu i brał udział w wyprawie wołyńskiej. Zginął w czasie kontrataku I-go bataljonu 5-go pułku w tyraljerze oficerskiej.

Nehring Aleksy urodził się 8 grudnia 1891 r. w Petersburgu. Na politechnikę uczęszczał we Lwowie. Był oficerem Związku Strzeleckiego i instruktorem obwodowym w Tarnowskim. Podporucznikiem mianowany został 9 października 1914 r. w Jakubowicach. Brał udział we wszystkich bitwach I-ej Brygady, zginął 4 lipca 1916 r. w tyraljerze oficerskiej.

Groźna sława, jaka otacza szturmy Japończyków, sławne walki piechoty bułgarskiej na Bałkanach, szalone skoki infanterji francuskiej z bagnetem w rękę, sportowa, bohaterska zasada piechoty angielskiej, znakomite upory piechura niemieckiego, straszna furja Węgrów i Bośniaków! W kronice walk znakomitych mamy od dziś swe miejsce.

MY CHCEMY WYRWE

Tadeusz Wyrwa-Furgalski urodził się w Rzeszowie 3 grudnia 1890 roku z twardego pokolenia Mazurów, które oddawna sławi się na polach bitew, tak dobrze znaną w Polsce, powszednią cnotą żołnierską.

Cnotą powszednią, bo jest ona z świetnego pęku mazurskich zalet, które znajdują się w chwili potrzeby szczodrze, łatwo i obficie, a nad którymi nikt się nie rozwodzi, tak są chętne i częste... Owe Mazury — to naród wesoły, nieustępliwy, w rękach się im wszystko składa i wiąże w związek obrotny i mocny. Sztuka roboty, pracy i kierownictwa jest im wrodzona.

Major Wyrwa przygotowywał się do wojny sumiennie i z zapałem, połączenie zaś tych dwóch wartości jest w Polsce rzeczą rzadką.

Należał do Związku Walki Czynnej od 1912 roku; pracował w krakowskim Strzelcu. Ukończył tu szkołę oficerską wyższą, która, jak to później okazał przebieg wojny i rozwój formacji wojskowych polskich, była doskonałą akademią młodego oficerstwa polskiego.

Wyrwa doszedł do wysokiej na owe czasy szarży podporucznika i służył kolejno, jako komendant szkoły żołnierskiej i podoficerskiej, jako przewodniczący komisji egzaminacyjnej.

Wyruszył z Krakowa dnia 8/VIII na czele IV-go bataljonu, zdobywając sobie odrazu sympatję i miłość żołnierzy.

Dzięki czemu?

Może dzięki swej niespożytej wesołości? Lub może dzięki opiece, jaką otaczał żołnierzy?

Trudno określić elementy tej najtwardszej i najtrudniejszej miłości, mianowicie żołnierzy do dowódcy. Można być pracowitym, sumiennym, wesołym, można umieć oszczędzać życie żołnierza i nie być przez niego kochanym. Będzie zawsze trwać między szeregiem a dowódcą jakiś przedział nieokreślony i nie zmieni tego ani śmierć, ani zwycięstwo.

Można zaś, jak Wyrwa, wyjechać przed front, machnąć cholewami wedle boków konia, popatrzeć na bataljon i ogarnąć go wzrokiem tak, że odrazu każdy żołnierz czuje się zrozumianym.

Dar taki miał właśnie major Wyrwa. Miał wielki talent wzbudzania miłości żołnierzy. Dzięki temu między rozkaz a posłuszeństwo wplatała się tu rzecz najpierwsza i najżywsza — miłość.

Wyrwa był wcieleniem młodego dowódcy bataljonu młodego wojska.

Trzeba go było widzieć, jak na czele bataljonu inteligentów, powstańców, patriotów, mówców, studentów, ochotników, uczonych, inżynierów, mechaników, doktorów, świętych, filozofów — którzy w rękę jego przemieniali się w wojsko — maszerował na Kielce. Jak na małych rynkach biednych i nieszczęsnych miasteczek Królestwa prowadził to wojsko w sznurowanych półbucikach, głodne, wyniosłe i mężne... Jak przecinał wybuchy śpiewu i uroczystości machnięciem szabli lub krzy-

kiem komendy. Jak drżącymi z radości i z trudu rękoma na wycieczkowych mapach kreślił drogę...

Zdaje mi się, iż nie przesadzę, gdy powiem, że w tych kwitnących i rozkosznych wzgórzach kieleckiej ziemi, w godzinie słońca i entuzjazmu, jakie świeciło początkom straszliwej wojny, w tej chwili długiej i uroczystej, gdy szła z Galicji do Królestwa młodzież orężna, młody Wyrwa był uosobieniem siły, rzeźwości i piękna.

Podczas kampanji kieleckiej i pierwszego odwrotu brał udział, dowodząc IV-ym bataljonem, we wszystkich bitwach. Więc 14/VIII 1914 r. pod Brzegami, 19/IX i 23/IX pod Opatowcem i Brzegami, 23/X i 27/X pod Budami Michałowskiemi, Niedabylem i Brzechowem. Wreszcie podczas odwrotu w pierwszej wielkiej bitwie pozycyjnej, którą stoczyła I Brygada, t. j. pod Krzywopłotami.

Kapitanem mianowany został 25/X 1914 r. w Jakubowicach.

Historja działań wojennych I-ej Brygady szczegółowo oceni te zasługi, któremi się odznaczył — współcześni ocenili go zawczasu.

Na wiosnę 1915 roku, w czasie marszu z nad Nidy na Konary, z szeregu żołnierskiego wróciło do Wyrwy, rzekłbyś, echo tej pracy i zasługi, jakiej był dokonał zeszłego roku. Oto dawny IV bataljon, gdy przechodził koło kwatery głównej, upominając się o swego dawnego dowódcę (Wyrwa był wówczas przy 3-cim pułku I-ej Brygady), skandował chóralnie: „My chcemy Wyrwę!”

My chcemy Wyrwę — niosło się szeroko i daleko przez białą wieś, kurz i drżącą zieleń wiosny świe-

żej... Krzyk ów mieszał się z tempem marszu, z chrzęstem broni, tętniąc niby najżywszy wyraz burzliwej sławy oficera.

Po bitwie pod Konarami odwołany został major Wyrwa do prac organizacyjnych, po powrocie zaś do Brygady objął II bataljon 5-go pułku.

Dużo się od tego czasu zmieniło, pozmieniali się ludzie, wykruszyła się „wiara“ w bataljonie, który tyle walczył, tak krwawił się i tyle zwyciężał. Wielu z tych żołnierzy, co stali z odkrytymi głowami na jędrzejowskim rynku i śpiewali „Z dymem pożarów“, legło w ziemi, z wielu krzyże jeno pozostały, rozsypane po wsiach, polach i lasach.

Niemniej jednak przetrwała, głęboko w szeregu zakorzeniona, miłość do majora Wyrwy.

Objąwszy komendę, odznaczył się odrazu pod Stowogorzem, potem zaś pod Koszyszczami, gdzie brawurowym atakiem rozbił nieprzyjaciela, zabierając dwie kompanie do niewoli.

Pod Koszyszczami też, 25/X 1915 r., został mianowany majorem.

Żołnierze przewali go po tym ataku Rinaldem dlatego, że z fajeczką w zębach, z rozwianą peleryną, leciał do szturm.

Trzeba zrozumieć, ile uznania, ile podziwu i serdeczności jest w tym przydomku. Wszak nadawał go majorowi młody żołnierz, dla którego Rinaldo tak wiele znaczy!

Major Wyrwa miał wszystkie zewnętrzne nawet dane, by podobać się żołnierzowi. Był wysokiego wzrostu, zgrabny, żywy. Jasne włosy, piękne, niebieskie

oczy, twarz ściągła, biała, złoty wąs, ruchy lekkie — składały się raczej na wygląd młodzieńca, niż znacznego oficera.

Wysoka szarża, jaką piastował, nie narzuciła mu żadnej pozy. Miłe, nieomal dziecinne przyzwyczajenia, tęgie, żołnierskie libacje, obcesowość we wszystkim, do czego brał się, nie opuściły Wyrwy, gdy został majorem.

Stworzył on osobliwego gatunku dowcip wojskowy, pełen zabawnej przekory.

Wyrwa kochał wojsko w bitwie, w życiu i w ceremonji. Któż tak, jak on, potrafił maszerować na paradzie, na czele bataljonu, krokiem sprężystym i tancernym, pierwszy przed murem swych kompanij, wesóły i bujny...

Tak szedł jeszcze na tę Wielkanoc.

29/V dowodził znakomitym atakiem na pozycjach pod Kostiuchnówką.

Potem przyszły ciężkie, straszliwe ognie huraganowe.

O świcie 5 lipca, po całej dobie wyczerpującego boju, prowadził Wyrwa kontratak w piekielnym ogniu flankowym.

Tu, w walce bohaterskiej, przeżyć musiał stratę najlepszych swych kolegów, najoddańszych żołnierzy.

Dopiero gdy siedzieli z Berbeckim w ziemiance, na pozycji, zrytej doszczętnie granatami, a przyszła wiadomość, że znów granat rozerwał por. Hajeca...

— Gdzież są teraz, majorze — spytał wówczas podpułkownik Berbecki — nasze kadry — gdzie nasze dywizje, korpusy?...

I wówczas ci dwaj ludzie, którzy przetrwali spokojnie całe doby huraganowego ognia, którzy tak śmiało i mężnie szturmowali — zapłakali.

Zdawało się, że już niżej wszelkiej miary przechyla się ciężar krwi, bólu i śmierci... Że ludzkie siły przerasta, że przemaga najtęższą wolę, najśmielsze serce...

Już trzeci dzień tej bitwy...

Jedne oddziały idą na linię, inne tuż koło komendy Brygady odpoczywają. Żołnierze idą dwójkami w spiekocie, skwarze, czarni od kurzu i dymu, z oczyma szklącymi bezsennością.

Mimo ustawicznego ryku armat, część śpi, zmożona trudem straszliwym. Inni znów, korzystając z chwilowego odpoczynku, obnażeni po pas, myją się.

Podziw bierze, iż tak straszliwego ognia i takiego deszczu żelaza używać trzeba w walce z tem nikłym, drobnem ciałem ludzkim, które błyszczy teraz w słońcu, pocięte czerwonymi pręgami od noszenia broni.

Tu czekał w odwodzie 5 pułk piechoty, który w tej bitwie tak wielkie poniósł straty.

Nie znać po nich było trudów, znojów — ale tylko żalobę. Jakiś strach, by nie zapytano o kogoś, kto zginął. Rzekłbyś, uczucie nieopowiedziane szlachetnego wstydu i winy, że żyją, gdy tylu innych poległo...

Wyrwa opowiadał Komendantowi przebieg walki, lecz słowa więzły mu w gardle i już nie składał się gest opisu. Aż nagle — oczy majora zacisnęły się a złota bródka jęła drżeć.

— Trzeba się opanować, Wyrwa! — zgromił Komendant, widząc, że najweselszy z oficerów płacze...

Tego samego dnia, w nocy z 6 na 7 lipca, Wyrwa zginął, idąc w szpicie z podpułkownikiem Berbeckim, ugodzony śmiertelnie w głowę.

Nie da się opowiedzieć, ani się da wyrazić, jaką troską, żalem i bólem napełniła ta śmierć II bataljon 5-go pułku, całą Brygadę i wszystkich kolegów broni... Wielka część wojskowego dorobku ginie z Majorem i wiele tradycji, wiele męstwa i szczęścia wojennego—tyle przyjaźni, młodości i siły.

Należy się majorowi Wyrwie, by wrósł wspomnieniem i sławą w te strony, z których pochodzi. Żeby tam wszyscy wiedzieli, kim był, jak walczył i jak zginął... Bo pamięć takich ludzi jest dumą miasta, ozdobą strony urodzenia i stanowi, że wieś czy powiat rośnie w honor krwi, cenę ducha i ważność oblicza.

Należy mu się, by w historii młodzieży polskiej pozostał jako wzór pracy i bohaterstwa. Wyrwa nie wahał się na żadnych rozstajach i zadań o ciężale z ręki do ręki nie przekładał. Mając wszystkie stopnie naukowej kariery i drogę dalszą otwartą, przystał na żołnierza i nigdy służbie swej nie wyrzucił, iż dla niej inne sprawy odłogiem zostawił.

Jest rzeczą głęboko bolesną, że z nocnego boju nie udało się, mimo najstaranniejszych wysiłków i poszukiwań, wynieść ciała Wyrwy.

Żołnierz nie może oddać starym, odwiecznym zwyczajem należnych hołdów ciału bohatera. Nikt wiedzieć nie będzie nigdy, gdzie leży ten, który tak kochał wojnę i ruch.

Ani teraz, ani po wojnie nie da się zwykłym sposobem utwierdzić pamięci o tym znakomitym żołnierzu. Nie da się nigdy i nigdzie powiedzieć, że tu a tu leżą

owe prochy, które były ongi smukłą postacią młodzieńca, wesołym światłem (niebieskiej źrenicy i mężną ręką oficera.

Sława Wyrwy musi być tedy w ciągłym ruchu. Nie oprzeć się jej na kamieniu grobowca, czy kolumnie... Nie spocząć w cieniu drzew szumiących... Nie układać się jej w rytmy obchodów i uroczystości...

Musi się sława ta snuć w wieczornej gadaninie żołnierza, chodzić drogami, po których Wyrwa chodził i wojował — kwitnąć, gdzie trudził się ongi, na długiej drodze od Krakowa, aż po te krwawe, szerokie kresy polskie...

BEZ PATOSU

Stanisław Zwierzyński urodził się 13 maja 1892 r. w Brześciu Litewskim. Ukończywszy tam szkołę średnią, uczęszczał na politechnikę we Lwowie, pracując równocześnie w lwowskim Związku Strzeleckim.

Przeszedł przez wszystkie stopnie, kończąc chlubnie szkołę rekrucką, podoficerską, oficerską niższą i wyższą. Był komendantem plutonu w szkole rekruckiej, instruktorem technicznym w szkole oficerskiej niższej.

Porucznikiem mianowany został podczas wojny 9 października 1914 r. w Jakubowicach, kapitanem 1 stycznia 1915 r. w Lipnicy Murowanej. Dowodził kolejno bataljonem V-ym i VI-ym, od stycznia zaś 1915 r. aż do 4 lipca 1915 r., t. j. do dnia śmierci, I-ym bataljonem 5-go pułku piechoty Legionów (2-go strzelców I-ej Brygady).

Brał udział, prócz czasu, w którym się leczył z rany, zadanej pod Limanową (przestrzelone kolano) — we wszystkich walkach I-ej Brygady. Jego karta wojskowa zawiera wszystkie miejscowości, gdzie łamało się nieprzyjaciela lub wstrzymywało napór jego przewagi liczebnej.

Dowodził swoim bataljonem w dwudziestu kilku bitwach i wstąpił się w nich. Zdobył Swojkowa, szturm na Włostów, atak na Kamieniec (pod Konarami), szturm pod Urzędowem (Lubelskie), szturm na majdan Krasieniński, walki nad Stochodem, słynny szturm pod Stowygorożem, szturm pod Kostiuchnowką, gdzie, prze-

bijając się z swym bataljonem, padł trafiony w serce, oto kilka tylko największych czynów wojennych kapitana Sława-Zwierzynskiego.

Ujmując rzecz treściwie, godząc parę słów wspomnienia z faktyczną prawdą tej postaci, należałoby tu przerwać...

Kapitan Sław-Zwierzynski, okryty chwałą swych czynów, walcząc po bohatersku, padł w boju.

Życia Jego nikt tak streścić nie może, zgonu Jego nie tak ściśle odtworzyć nie zdoła, jak rozkaz dzienny, odczytany przed frontem.

Jest rzeczą zdumiewającą, że właśnie poza wojskowym ujęciem, osoba, dusza młodego kapitana wymyka się z wszelkiego określenia.

Choć się go znało i żyło z nim, nie wie się nic o tem wszystkim, co stanowi zarys historyczny upodobań, tętno pożądań, tęsknotę i sprawę młodego życia. Tak, jakgdyby to wszystko wyraziło się już w czynie wojennym bez reszty.

Wszystko inne otoczone jest przemilczeniem.

W potocznem życiu nie było śladu, w równoważnej mierze dni kapitana nie było wyraźnego odbicia tego rozmachu i piorunującej werwy, z jaką walczył.

Lecz z drugiej strony łatwo można było poznać, że to nie rezerwa, czy ekonomja środków i zasobów codziennych, zbieranych skrzętnie, gwoli wydania w trudne święto wojennej potrzeby... Tryb tej postaci sprężystej nie ulegał żadnym zmianom w czasie wielkich zadań, ciężkiej bitwy i surowej odpowiedzialności.

Był w tem jakiś głęboki, chłodny czar... Pozorna szarość owa mieściła w sobie wiele tych najprawdziw-

szych cnót, jakich potrzeba do stwarzania wielkości i prostoty w działaniu...

Trudno sobie wyobrazić kapitana Sława w gloriach choćby najszczęśliwszego patosu... Trudno Go sobie wyobrazić w rytmie choćby najwznioślejszych pochwał, chociaż to, co sprawiał i działał na wojnie, tak często graniczyło z wzniosłością.

Przemieszkiwała w nim gorzka zagadka pokolenia, które wyrzec się musiało wszelkiego patosu.

Przebijając się z bataljonem, padł w czasie szturm, rażony w serce.

Oto nagle — szuka się teraz w zapadającym mroku tej twarzy szarej, ściągłej, o ziemistej cerze, bladych ustach i obojętnym spojrzeniu szarych, zimnych oczu...

Tak bardzo pragnęlibyśmy znów spotkać o świetle kapitana Sława, jak idzie lekko wzdłuż okopu.

Z taką radością ujrzelibyśmy znów pod ciężką, czarną chmurą burzy, w łomocie karabinów i gwałcie armatnich salw, tę półdzieciną, półprzejrzałą twarz i jej pobłażliwy, skąpy uśmiech...

Mówię o zmroku, o świetle, w czasie nadciągającej burzy — gdyż tacy ludzie są szczęściem i pewnością przełomu: nie ima się ich wahanie nowości, w działaniu zaś i w walce są ciosem pewnym i straszliwym.

Życie i trud, praca i zasługa Aleksandra Sulkiwicza, sierżanta 5-go pułku piechoty I-ej Brygady Legionów Polskich, nie dadzą się wyrazić w kiku słowach pośmiertnego wspomnienia. W niezmożonym, nieustannym mozole tego człowieka była nieobliczalna poprostu szczodrość cnoty, z jaką natury, tak jak On, głębokie i serdeczne oddają się ukochanej idei.

Sulkiewicz pracował dla idei wyzwolenia narodu polskiego i polskiego robotnika bezpodzielnie. Nie rozumiał, jak można dzielić życie na sprawy publiczne i osobiste. Zacność, rzetelność roboty i poświęcenia tego człowieka były tak ogromne, iż nie przesadzę, gdy powiem, że nie dają się wyrazić słowami. Trzeba wezwać na świadków tego wspaniałego życia wszystkie najżmudniejsze drogi, które odbywał, jako założyciel Polskiej Partji Socjalistycznej, jako transportowiec drukarni „Robotnika“, jako ostrożny i ofiarny organizator „granicy“ w czasach rewolucji, jako przewoźnik broni podczas wojny rosyjsko-japońskiej, jako twórca tyłu świetnie zorganizowanych ucieczek tyłu śmiałych i tęgich ludzi z więzienia...*) Trzebaby wezwać na świadka tę zbożną, łaskawą, chętną,

*) Sulkiewicz zorganizował ucieczkę Piłsudskiego z więzienia petersburskiego.

cierpliwą wierność, z jaką przez lat 26 objeżdżał wszystkie centra organizacyjne robotniczego i niepodległościowego ruchu polskiego — by nabrać pojęcia o przepięknej energii Aleksandra Sulikiewicza.

Zasługa tego człowieka nie da się zamknąć w treści widomego owocu pracy. Rozpostarta na krosnach tak wielkiego warsztatu, tak wyniosłe bezimienna, będzie i musi długo krążyć w obiegu życia, nim się jej całość zamknie i treść po brzegi wypełni.

Naczelnym ideałem tego bojownika była niepodległość Ojczyzny i znak jej najistotniejszy oraz poręczyciel najodpowiedzialniejszy — żołnierz polski.

Gdy uczyniono na tej drodze pierwszy wielki krok, gdy Piłsudski z kadrowym swym żołnierzem przekroczył granicę — zaczęło się dla Sulikiewicza wielkie szczęście jawnej walki z nieprzyjacielem. Nie dostał się jednak do szeregu, ale rozkazem przydzielono go do organizacji, wspomagającej szereg walczące inicjatywą polityczną i gospodarczą.

Pracował w komisarjatach: miechowskim, jędrzejowskim, kieleckim i częstochowskim, Ujawniły się tu raz jeszcze wszystkie ciche, a znakomite zalety Jego charakteru. Ogromna dbałość o ludzi, wielka sprawiedliwość w szafowaniu skromnym wówczas i ubogim dobytkiem żołnierza... Któż, tak jak On, potrafił pilnować magazynów ówczesnej intendentury? Któż z taką, jak On, skwapliwością organizował i czuwał nad warsztatami, które sposobiły zapasy dla żołnierza? I czy wielu było ludzi, którzyby z taką serdecznie ojcowską cierpliwością tłumaczyli rolę i program polskiej Sprawy, nigdy nie powołując się na własne zasługi?

W pracy tej postępował Suliewicz, jak człowiek niepośledniej miary, który zasobem własnej siły i szlachetności pokrywa i rozgrzesza słabości przeciwników.

Po niebezpiecznej wyprawie przez front rosyjski do Królestwa z misją polityczną (w r. 1915), po krótkim pobycie w polowej intendenturze I-ej Brygady, na wielokrotnie powtarzane prośby został wcielony do szeregu.

— Jestem mahometaninem — mówił — pochodzę z bitnego narodu. Suliewicz dowodził chorągwią jeszcze pod Wiedniem. — Cóż moi przodkowie powiedzą, gdy stanę przed nimi, a oni zapytają — gdzie służył, jakieś walczył w czasie wielkiej wojny — ja im zaś odpowiem. Żem był w prowjanturze?!

I mrużąc przezacne czarne oczy pod złotemi okularami — wyciągał ku rozmowcy okrągłą, brązową twarz...

— Nie mogę! — Polscy mahometanie — ludzie wierni. — Cichy, niejako senny jego głos nabierał rytmu wspomnień.

— Ojciec walczył, dziad walczył, pradziad walczył — nie mogę!

Nie bacząc więc na wiek, na tuszę, słaby wzrok, nie bacząc na ciężkie obowiązki rodzinne, zaczął przykładnie służbę wojenną, potomek dawnych chorążych, Iskander Dusman Emirza-Bek na Sułach Suliewicz — jako szeregowiec 4-ej kompanji I-go bataljonu 5-go pułku piechoty I-ej Brygady Legjonów.

Służba to dla człowieka, leciwego już nieco, bardzo ciężka. Nie skarżył się, wytrwał, w żartach tylko czasem na pasie swym żołnierskim pokazując, jak chudnie i na coraz dalsze dziurki pasa swego dociąga.

Zyskał sobie miłość i szacunek żołnierzy, a w wielkiej bitwie pod Kostuchnowką świecił przykładem wytrwałości i męstwa.

Po tej bitwie awansował na sierżanta.

Zginął dnia 18 września 1916 r. w południe, w czasie wyprawy patroli przeciw pozycjom rosyjskim, nad rzeką Stawokiem na Wołyniu, w okopach 5-go pułku. Kula przeszła mu serce w chwili, gdy śpieszył z pomocą rannemu koledze.

Ciało Sulkiwicza przeniesiono z okopów do komendy pułku. Potem miało iść dalej zwykłą żołnierską drogą.

Miano je właśnie przewieźć do zakładu sanitarnego. Zajechała fura. Złożono na nią deski na trumnę i zwłoki Sulkiwicza.

Widocznie któryś z żołnierzy dotknął się rany, czy skrwawionej odzieży, bo na deskach pozostał odcisk świeżych, krwawych śladów.

Słońce zalewało małą polanę leśną tuż za pozycjami, od których miał Sulkiwicz na zawsze już odjechać.

Żołnierze odwodu, odpoczywający poodal na trawie, pozierali ciekawie na wóz, komentując sobie zdarzenie.

— Wiesz, kto zginął?

— Kto?

— Ten, wiesz, sierżant z pułku, ten dziedzic taki.

— Który?

— Ten w okularach, Turek, wiesz, gruby — ten dziedzic.

Skądże wzięło się to słowo w godzinę śmierci Sulkiwicza pośród młodziutkich żołnierzy?..

A przecie najrzetelniejszą prawdę mówili i dotykali słowem najgłębszej legendy życia tego! Czyż Sul-kiewicz w trudzie ofiarnym, w walce nieugiętej i śmierci rycerskiej nie był na wszystkich drogach żywota swe-go dziedzicem wszystkich cnót polskiej walki.

Następnego dnia, w asyście pułkowników Hallera i Sosnkowskiego, wielu oficerów i żołnierzy, odbył się pogrzeb.

Mogiłę sypali koledzy. Pluton, w którym służył potomek dawnych chorążych, Iskander Dusman Emirza-Bek na Sułach Sulkiewicz, pod komendą dowódcy kompanji, por. Styka-Stachiewicza, oddał potrójną salwę honorową. Grudom sypanej ziemi towarzyszył głos komendy: — W prawo patrz! — i dźwięk pobudki żołnierskiej, brzmiącej silnie pod dalekiem, jesiennem niebem Wołynią.

TRAGICZNY OFICER

Major Albin Fleszar był oficerem wzorowym, mężnym, sprawiedliwym, świetnym organizatorem, doskonałym rządcą wojskowym i w każdym boju bezpośrednim — walecznym żołnierzem.

Brał udział we wszystkich prawie bitwach I-ej Brygady i we wszystkich wybitnie się odznaczył. Powierzyć bojowe zadanie Fleszarowi — znaczyło to samo, co przestać już niemal myśleć o tem zadaniu, jako o spełnionem, wedle najlepszej możności ludzkiej.

To major Fleszar atakował pod Krzywopłotami, to Fleszar w walkach pozycyjnych nad Nidą trwał z swoim bataljonem, gdzie było najtrudniej, to Fleszar pod Konarami, odesłany na pomoc rozharatanej dywizji austriackiej, zdążył forsownym marszem na porę, nieprzyjaciela spędził, dywizję austriacką pod jakimś księciem Parma odratował, cały front w górach Świętokrzyskich powstrzymał i, wraz z całym bataljonem przez Austriaków w winie i rumie kapany — wszystkie odznaczenia dla siebie i bataljonu odrzucił.

To Fleszar stworzył w swym oddziale psychologię bataljonu VI-go, psychologję spokojnej, twardej, nieustraszonej gwardji, to jego wojsko szło tam, gdzie regimenty niemieckie ruszyć naprzód nie mogły, w słynnych szturmach na Jabłonkę i Kamieniuchę.

Sława majora Fleszara tem większa jest i subtelniejsza, że nie płynęła, jak u Wyrwy, z żywiołu duszy, zamiłowanej w wojnie. Nie opuszczała majora Fleszara ani na chwilę podczas wojny humanistyczna, że się tak wyrażę, miłość człowieka.

Walczył — i cierpiał zarazem. Cierpiał nad całością kształtem doli ludzkiej w tej wojnie. Pod pozorami twardej srogości łamała się i ugiwała w tym dowódcy czułość nieustanna, którą pokrywał patosem wyzwisk i złorzeczeń.

Był to zaiste — oficer tragiczny.

Gdy podejmował zadanie wojenne, przemawiał do swych żołnierzy, malując im w najczarniejszych barwach podejmowany trud. Przeżywał bowiem, jakgdyby naprzód, wszystkie możliwości boju. Cierpiał na myśl o nieuniknionych stratach swego bataljonu.

Żołnierze rozumieli się doskonale na tych przemowach. Major wróżył im sąd ostateczny, oni zaś patrzyli w swego dowódcę z uśmiechem wielkiego przywiązania i miłości.

Na pozycjach pod Kostuchnowką w 1916 roku leżał ze swymi kompanjami przed Czartoryskiem na sławnej „reducie Piłsudskiego“, gdzie linje nieprzyjacielskie dzieliło zaledwie kilkanaście metrów.

Rosjanie zwali ów przyczulek orlem gniazdem.

Szła tu walka ustawiczna, cierpliwa, oko w oko, pełna milczenia, gdyż mówić nawet nie można było na tych pozycjach, by nie „drażnić“ nieprzyjacielskich minierek.

Tu trwał major Fleszar kilka tygodni, zagrożony podkopem, trwał w przekonaniu, że lada noc wyleci w powietrze z całą obsadą przyczółka.

Był jednym z najwierniejszych oficerów Piłsudskiego, a jednak, jako człowiek refleksji i nauki (zamierzony geolog), nie zrzekał się nigdy własnych hipotez i rozumowań.

Przez cały czas kampanji cierpiał nad sprawą polską. Dręczyły go jej postępy powolne i ów wyzysk, jaki stosowali do wszystkich polskich poczynań przymerzeńcy.

Rosją — pogardzał

Na jesieni 1916 roku, chory, w szpitalu niemieckim w Słonimiu targnął się na własne życie.

Zaprawdę — zginął na progu nowych, lepszych czasów.

Nie było w tragicznym uczynku majora cech zwątpienia — złamanej wiary. Gdyby Brygada w tym właśnie czasie znajdowała się w boju, wierzę głęboko, że major Fleszar, jak zwykle — stałby ze swoją gwardją VI-go bataljonu na najtrudniejszym odcinku i walczyłby z równym zapałem, jak zawsze. Z równą, jak zawsze, pogardą śmierci.

W uczynku majora Fleszara było natchnienie innej, wyższej miary, był polot bolesny i najszlachetniejsza niecierpliwość: tragiczna!

Jakgdyby ferment honoru i obrazy, który w nas wszystkich wzbierał — zawarł pan major Fleszar całkowicie w swej piersi. Jakby fala piołunu, w Nim jednym zebrana, porwała wszystkie tamy ciała i udręczonej duszy. Jakby nas wszystkich chciał Fleszar wyzwolić śmiercią swą z przewin bierności, nędzy i upokorzenia całej Polski, na które tak ciężko, tak ciężko było wtedy patrzeć!

Tymczasem — gruchnął z Komendy Legjonów fo-

nogram, że już, zaraz, pułkownicy legjonowi meldują się, zbierają i do Warszawy jadą, gdyż Polska zrobiła się! Polska prawdziwa, po świecie głośnemi depeszami telegrafowana.

Polska, której głosem młodości przysięgliśmy pod Oleandrami, którą głosem udręczenia i walki pozdrawialiśmy w tyłu, tyłu bitwach.

Którą nam co dwa miesiące obiecywał proroczy N. K. N., a my odpowiadaliśmy, że Ją nam przywiezie na austriackiej podwodzie z wędzonym boczkim i cykorją!

Trzeba wiernie powiedzieć, że gdy inni co żywo do Warszawy pojechali, pułkownik Śmigły festyny wszystkie zbył, pamiętający przedewszystkiem o pochowaniu towarzysza broni.

W dzień 5 listopada, gdy w Warszawie wyczyniano triumfalne hałasy, pojechaliśmy z Baranowicz do Słonimia na pogrzeb majora Fleszara.

Słońce się cięło przez mgły wielkimi promieniami, rozsiewając w daleki krąg pierwsze śniegi i szrony.

Od stacji szliśmy szybkim krokiem ku samemu miastu, które leży na górkach i szkarpach, dosyć poturbowane przez ostatnie bitwy.

Gdyśmy weszli w ulicę, jęła się ludność przy nas gromadzić i biegać za nami łapczywie, jak ludzie zgłodniali w złych czasach biegają za wozami z pieczywem...

Przychodzili do nas ukradkiem, jakoby niechcący... Ale, gdy już do ciebie przystanie, gdy się do ciebie przyssie taki kresowiec, to już się nie odczepi, tylko gada tą polsko-litewską kluseczką i tłumaczy z głębi swej duszy obolałej...

Kadzidełko zabobonnego zachwytu — i troski z przed stu lat, i mądrość przepłoszonej kuropatwy...

Nie mieliśmy dziś na to czasu — pogrzeb miał wyruszyć o drugiej — trzeba było zjeść jeszcze. Tymczasem słonimianie nas nie puszczali, owi mężowie w płaszczach sztywnych, jak z papy, owe damy dziwną modą rozpukłe — z kogutkiem na bocheneczku kapeluszy... Ze wszystkich stron przychodzili ze skargą na tę wielką żałobę, która miasto spotkała... Że tu właśnie umarł wielki i dzielny oficer legjonowy.

O godzinie drugiej byliśmy na miejscu, w czworoboku murowanych koszar, przemienionych na niemiecki szpital.

Na dole, pod szklanem wejrzeniem równych rzędów okien, niby kawałek nocy w pośrodku białego dnia, kirem obity karawan. Z całego gmachu na oznaczoną godzinę schodziła ku niemu właśnie załoga tego domu. Błado-niebieskie siostry, podobne do ryb błękitnych, o kwefach, jak skrzela odginających się od szyi, oraz urzędnicy i oficerowie niemieccy, ze złotemi guzikami, niby oczy, pozierającemi ostro naprzód z wypiętych brzuchów sukiennych...

Staliśmy już przed pojazdem — szara, razowa zacierka legjonowa... W głębi za bramą szpitalną, na ulicy, oczekiwał cichy, spłoszony, żałosny tumult ludności.

Właściwie nikt nie wiedział, jak i dlaczego zmarło się tutaj majorowi Fleszarowi?...

Podobno miotał się w tym szpitalu straszliwie, płową swą głową bił o kamienie sali... Podobno rwał na sobie wszystkie odznaki, a twarz jego spokojną i zacną ciągle cierpienie wykrzywiało. Z wielkiem zdu-

mieniem przypatrując się tym cierpieniom, wygalonowani doktorzy przenieśli chorego do osobnej izby.

Żołnierze znów opowiadali, że pytał wciąż tych Niemców, czy już jest Polska, i że klął straszliwie... I że oto on właśnie, w umyśle swoim tak kochający, a tak wzburzony, nie mogąc się odpowiedzi doczekać, ani od siebie, ani od ludzi, ani od świata—nożem sobie piersi podarł i powietrze dostało się do żył...

Major Fleszar zmarł, gdyż sam powłokę swą ziemską otworzył woli żywiołów, nim świat zdążył i potrafił powietrzem wolności otoczyć majora Ojczyznę...

Widzieliśmy, że tak postąpił jeden z najlepszych pomiędzy nami, młodzian uczony, zacny, mężny—pełne słowo, zebrane ze wszystkich dźwięków i znaków, którymi żył nasz czas.

Kiedy z odgłosem polskiej komendy żołnierze VI-go bataljonu trumnę na podwórzec wynieśli, zdało się nam, że to dusza naszego pokolenia Legjonów w trumnie, biało-czerwonym błamem krytej, położona jest na wóz, a i to jeszcze przecie pod niemiecką wartą odjeżdża traktem ostatnim...

Szliśmy długo przez miasto, z wielką muzyką, gęstym, zbrojnym tłumem, gdyż za katafalkiem postępowały trzy delegacje oficerskie, nasza, niemiecka i austriacka.

Oto maszerujemy przez śniegi, pod jasnym błękitem listopada, tam, w Warszawie, uroczystość wystrzela z Królewskiego Zamku i honoratory, i pułkownicy polskie, i pewno uczta, i zgiełk, a równocześnie tu uparte wojsko Piłsudskiego najlepszą swą wiosną grzebie.

Wydrapaliśmy się nareszcie pod górę, ku cmentarzowi, z wielkim wstydem, że razem z Niemcami idziemy, gdy ludności cywilnej z nami nie wolno... Tylko

tak — musi się owa ludność katulać po brózdzie i panowie, szkółki męskie i żeńskie, długimi parami prowadzone przez księży, i szara biedota dziecinna, żebracza, której wszędzie mnóstwo, gdzie mieszkają Polacy...

Już słońce prawie zachodziło, gdy złożyliśmy na górze zwłoki majora Fleszara pod wielkimi topolami i gdyśmy odeszli zostawiwszy na mogile garstkę bosych dzieci, które, drepcząc z nogi na nogę, sylabizowały polskie napisy naszych żałobnych wstęg.

MEMU DZIELNEMU CHŁOPCU

Szczęście dziś chodzi pokojami ojczystego domu, chociaż ten dom wstrząśnięty jest, złupiony i obdarty. Radość nam towarzyszy na wszystkich drogach, w zachodach naszych wszystkich i zabiegach. Radość tak lekka, czysta, jak lekkie jest powietrze wesołej wiosny. I wszędzie, dokądbyśmy szli, biegli, gdziebyśmy się kwapili — idziemy ku lepszemu... Czyto, gdy nas troska obłóczy, czy, gdy nas mocny żal dosięgnie, czy, gdy pośpiechy nas opadną tak skore, iż oddechem i staraniem nadażyć im, zda się, nie możemy — to wszakże zawsze już teraz i te starania, i pośpiechy, i kłopoty mniejsze są, lżejsze, a ciągle radośniejsze od tych, które doniedawna wzruszały i trapiły pierś Polaka...

Bo stała się jedna rzecz — największa! Gdy doniedawna każdy z nas jeno skały i zawroty niewoli koło siebie miał — to teraz cudnem błoniem wolności radośnie sobie oddycha... Gdy doniedawna mitręga się tu mnożyła, i musieliśmy być, jak drewna darmo leżące, albo też musieliśmy się łamać z twardą nauką niewoli — to teraz każdy swe koła toczyć może wartko, ku coraz szerszym zasługom...

Bo stała się rzecz największa pośród wielkich, mianowicie — żeśmy wolność odzyskali! Przyniósł nam

ją świat skrawiony, strasznym gniewem wojny przedarty i zasię znów ku lepszej doli naszej wyrównany. Ale przynieśli ją także ci, co światu temu, po wielokroć wzburzonemu, kroków dotrzymywali, pomimo wszelkie przeszkody, zakazy i zawady, pod nogi ciskane raz po raz.

Przynieśli ją nam, lepkiemi z boju i z trudu rękami, żołnierze nasi. Wśród żołnierzy zaś — jak to przyznać każe i zawsze przyzna prostota wojennego serca — pierwsi są ci, w których rękę najspieszniej oręż zawarczał. Ci, którzy pierwsi ziemię ojczystą okropili swą krwią.

Pamiętać ich należy, jak się w rozwoju wiosny pamięta pierwsze jej dni, jak w dostatkach lata pamięta się pierwsze gromy wiosenne.

Pamiętać tych żołnierzy trzeba nie dlatego, że należy się im wdzięczność i podziękowanie wszelakie. Nie czas bowiem wpośród bojów na hołdy. Ale dlatego, że z ich pracy i czynów bystra wystrzela nauka, oraz wszelkie możliwe ulepszenie naszych kroków i działań. I, że wynika dla nas z ich pracy radość niezmierna... Radość z tego, że byli, że są wśród nas wielcy i tędy żołnierze!

Wśród pierwszych, wielkich żołnierzy, nikt mi nie zaprzeczy, gdy powiem, iż najpierwszym był świętej pamięci podpułkownik Lis-Kula.

Jak się to stało, iż chłopaczek ten stanął na najświetniejszym miejscu pomiędzy wybranymi, jak się stało i kiedy, że posiadał wszystkie cnoty trudnej walki i nieustraszonego wytrwania... I wszystkie rozumy, i wszelkie podstępny, i tak głęboką wiedzę milczenia, i tak straszliwy rozmach ciosu... I taką niewyczerpaną

siłę wiary, i tak cudowną cnotę wierności — tego nikt nie wie, ani wiedzieć nigdy nie będzie... Nie można inaczej rzec, jak tylko, że cnota sobie w tym chłopaczku gniazdo uwiła najlepsze, i że krótkie a śliczne życie tego żołnierza popłynęło przez losy Ojczyzny, jak jasna woda leje się po ziemi — szeroko i żyźnie.

Pochodzenie, warunki, w których się wychowywał, były proste i zwykłe, jak każdego z nas. Może nawet mniej dobre, może nawet trudniejsze, bo w niemaleńskim ubóstwie i mało znaczących okolicach przeszło mu całe dzieciństwo.

Szczęśliwy jestem, iż o tych czasach bohaterskiego podpułkownika mówić nie potrzebuję sam, ale poradzić się mogę kochanych, prostych słów jego matki.

„Po stracie mego najukochańszego syna — pisze matka — chciałabym wam podać szczególny talent jego wojskowości. Będąc jeszcze dzieciną, kiedy mu dziadek Czajkowski (to jest mój ojciec) dawał kropidło i szablę, najchętniej dziecina chwytła za szablę. Kiedy go myła zimną wodą, to z lękaniem dziecinnem przyznawał, że, jak będzie żołnierzem, nie będzie się zimnej wody bał. Zabawki jego zawsze wojskowe, zawsze komendantem między swoimi pięciu braćmi, a chociaż wszyscy tak są wielcy wzrostem, on ich zawsze przewyższał we wszystkim, i do zadziwienia słuchali go. Począwszy naukę w szóstym roku życia, był zawsze chwalebny w nauce i obyczajach. Zamitowanie jego wiedzy historycznej było ogromne, do jedzenia nie można go było oderwać od książek, a już rozszarpanie Polski nie było mu obojętnem. Głęboki wzrok dużych, niebieskich oczu za niego odpowiadał, i widziało się,

że, jak dorośnie, to złe wytepi, a wszystko dobre zaprowadzi“.

Leopold Kula urodził się w roku 1896 w Kosinie, między Łañcutem a Rzeszowem. Ojciec jego, Tomasz, był podurzędnikiem kolejowym i, jako taki, pracował na stacji. Matka, Czajkowska z domu, z rodziny tego emira Czajkowskiego, który ongi formował legjony... Z tych Czajkowskich, którzy, jak pisze sama — „dobra swoje opuszczali, tracili, a pracowali w sprawie Polski”. Zapewne, że wspomnienia tych zasłużonych dziadów i ojców dźwięczeń musiały w dzieciństwie podpułkownika; ale ileż, ileż razy ten dźwięk zgłuszony być musiał codzienną troską o byt ubogiej rodziny...

Kto znał życie galicyjskie, ujęte w kluby austriackich rządów, ten wie, jak życie to zamknięte było i uciśnione. Przez wszystkie stopnie galicyjskiego bytowania piętrzyła się wysoko, aż pod nudny majestat cesarsko-królewski, sucha i gładka od tysięcy rąk, które się stopni jej czepiały, drabinka — a na każdym jej stopniu trudził się Polak ubogi, kopiąc niecierpliwie wdół i tęsknie do góry wyciągając ręce.

Jakże olbrzymi ciężar gwiazdek i złotych kołnierzy musiał być tłoczyć najskromniejsze poruszenia podurzędnika, liczną rodziną obarczonego.. I cóż tej rodzinie było wolno więcej wiedzieć o świecie, niż to, co się znajduje między jedną zwrotnicą stacyjki Kosin a drugą?...

W Kosinie uczęszczał więc malutki Poldzio Kula do szkoły normalnej.

W takiej szkole normalnej uczył się ówczesny Polak czytać, pisać, rachować, a gdy miał osiem lat, musiał umieć po niemiecku — „ich bin jung, du bist

stark, er ist gesund". A gdy miał lat dziewięć, z fularową krawatką na marynarskiej bluzeczce, śpiewał pod koniec roku na popisie całe „Boże wspieraj” aż do ostatniej zwrotki: — „Przy cesarzu mile włada cesarzo-
wa, szczęścia kwiat”.

Gdy dzieci już podrosły, przeniosła się rodzina Kulów do Rzeszowa. Tu zaczął Poldzio chodzić do gimnazjum, które również sporządzone było, jak wszędzie w Galicji... To znaczy w ten sposób, aby młodzi chłopcy mogli z niego wyjść gładziutko, jak weszli, do uniwersytetu, a stamtąd na urzędników, a stamtąd gładziutko na adjunktów, i aby się stali c. k. rądcami, i aby wkońcu gładziutko poszli na pensję.

„Już od piątej gimnazjalnej prowadził wszystko poważnie — pisze matka podpułkownika — Każde jego słowo takie było stałe, że żaden kolega nie miał odwagi jego zdania lekceważyć. Owszem, kochali go i słuchali wszyscy, a sam, dwa lata przed wojną, chwili nie tracąc, robił nocne ćwiczenia, obiegał okolicę, zachęcał młodzież. Z rana przyszedł obłożony, czyścił się, i do klasy, po południu nauki, lekcje, i znów na noc na ćwiczenia, mało kiedy spał.

Ja zaś — pisze dalej matka — wiedząc historje swoich dziadków Czajkowskich, widziałam w mym dzieciaku ich podobiznę i kochałam go więcej“.

Zaiste odżyli dziadkowie Czajkowscy i różne stare podobizny, w sercach głęboko pochowane, odnowiły się, i otwarły się rzeczy zapomniane, i jał się w wielu duszach szum daleki — jak w muszlach... Nie z pustego powietrza wziął się ten szum i nie z przygody składnego przypadku odnowiły się prawdy wyblakłe — ale wionął z morza cierpień polskich...

Stanął bowiem na ziemiach Małopolski, zrazu we Lwowie, potem w Krakowie, potem wszędzie, gdzie tylko tu się ogień prawdy krzesał — stanął na tej ziemi wielki Wygnaniec, który przynosił tajemne słowa, wyratowane z najsroźszych prześladowań i nawet w mrokach Sybiru nie zamarzające...

Słowa, które luzem dotąd po Polsce latały, a teraz znów przez Niego we wspólną pamięć stać się miały związane... Człowiek, który żadnego nie zasypiał czasu, ale budził życie, niecił odpór, do oręża zagrzewał, do walki gotował, do czynu sposobił, do Związków Strzeleckich przygarniał, powstanie niosąc w zanadrzu...

Człowiekiem tym był Józef Piłsudski. Za jego sprawami młodzież bronią jeżyć się poczęła i za jego przyczynieniem nadzieja wolności stanęła u powalonych wrót naszego domu niewoli.

Z tych czasów zda się pochodzić pierwszy pseudonim Leopolda Kuli, pierwsze godło i sławne później zawołanie czynów, mianowicie „Lis”.

Nazwa ta wywodzi się jeszcze z drużyn skautowych, w których, jak wiadomo, jest obyczaj drużyny imionami wielkich ludzi, zaś zastępy imionami zwierząt — mianować. Otóż pod nazwą przemysłnego lisa, Leopold Kula, z drużyn skautowskich, jako szesnastoletnie chłopię, wdał się w oddziały strzeleckie, aby nazwę Strzelca Polskiego, tych czasów wielkiej wojny światowej nigdy niezapomnianych — wiecznym urokiem i wdziękiem otoczyć.

Strzelcem musiał być bardzo tęgim i odpowiedzialnym, skoro wkrótce został pomocnikiem komendanta okręgu rzeszowskiego. W tym charakterze, już jako

oficer, wszystkie szkoły hartowne Piłsudskiego przeszedłszy, wedle słów matki — „w pierwsze dni wybuchu wojny ze swoimi kolegami z Rzeszowa wyruszył, żegnany jakąś wielką nadzieją pociechy”.

Jeżeli każdy czas ma swoje własne, sobie tylko właściwe wyrażenia i w słowie, i w tonie, i w modzie, w obrazie i w uczuciu, to najlepszym wyrażeniem Polski naszej ówczesnej będzie właśnie młodociany oficer Legjonów, Lis-Kula... Jeśli któryś inny naród, na przykład Rosja, wyraża całą siebie w postawie jakiegoś Ilji Muromcewa, o przemocnym kułaku, a inny naród żeglarza ponad wszystko wynosi, a Niemcy w Krzyżaku doskonałość swą widzą, a głądcy Francuzi i wolność swą, i męstwo junackie w postaci rycerskiej dziewczyny, Joanny D'Arc, ujrzeni, to dla nas, bez żadnej krzywdy czasu, o którym mowa — starczy Lis!...

Gdy sobie szedł, gdy śpieszył na czele młodzieńczego oddziału przez złotą skibę kielecką, wysoki nadmiernie i gibki, w szarej skromności strzeleckiego odziewku, krótko postrzyżony przy skórze, niczem kret... Cery smagłej, o blasku niebieskiego oka miękkim, lecz nieustraszonym, pod cienkimi łukami brwi, o ustach małych, pięknych, zwięzłym obdarzonych słowem... Gdy szedł rozkołysany, a ręce długie same mu się z przykrótkich rękawów munduru we świat rwały... Gdy szedł z blaszanym Piłsudskim na czapce, wesoły jak dziecko, posłuszny Wodzowi jak anioł, we wszelkim rozkazie brat, w każdym strofowaniu opiekun, w każdym trudzie pańszczyznę wojny na siebie biorący, najuboższy w pośród tej armii, która i tak już sama była najbiedniejszą ze wszystkich armij świata.

Zaczął na wojnie od swej kompanji rzeszowiaków, w VI-ym bataljonie I-ej Brygady, pod dzielnym i trwałym kierunkiem druha swego, a zarazem dowódcy VI-go bataljonu, świętej pamięci majora Albina Fleszara.

Ale jakgdyby zawsze tak być miało, iż to, co najgłębsze jest — najwięcej wycierpi i przez największe przejdzie gąszcza... Bowiem, gdy inne bataljony Brygady zaraz się ze sobą związały i wkrótce w pułki strzeleckie zrosły się, i tem samem zdobyły własne ogniska, własne nieodebrane gniazda sławy, własne rodziny, własne domy wojenne — VI bataljon niby na koszu osiadł, w domach tych miejsca już nie znalazłszy... A potem znowu, gdy Austriacy chcieli, w myśl trzybataljonowych pułków, wlepić V i VI bataljon w skład istniejących już pułków legjonowych — bataljony V i VI (Olszyny i Fleszara) wielkim zawołały głosem do Komendanta, by ich nie wcielał teraz, gdy sobie już własną sławę wygrzały, żyją nią i nadzieję mają sławę tę we własnym pułku pod liczbą „siedm” wspólnie złożyć.

Ale los znów nie poszczęścił, bo, nim się 7 pułk zrastać zaczął, Legjony się rozbiły.

Jakaż to była ta własna sława VI-go bataljonu i ileż w niej miały do czynienia zasługi Lisa?

Gdy innych śmiertelną, lecz najślawniejszą drogą bajecznego marszu wskroś nieprzyjaciela z Uliny pod Kraków wiódł sam Wódz, pieszo w szpicie idący — tys się strzępił i targał na piaszczystej wydmie beznadziejnego szturm pod Krzywopłotami...

Gdy na innych walkę i śmierć patrzą oczy Wodz... Gdy inni wojują w zgiełku rodzimej swady... Na

twoją walkę i śmierć nikt nie patrzy, lub gorzej, bo po-
zieraają puste oczy Austriaka... Wojujesz, niechęć ob-
cych mając po bokach.

Tak przecież było w maju 1915 roku w Kielec-
kiem, pod Wszachowem, Baćkowicami, gdzie arcyksiążę
w skórę brał, a zdaleka od swego Wodza, ręką jego rzu-
cony, krwawił za tego arcyksięcia VI bataljon, latając
jeszcze głupstwa jakiegoś księcia Parmy i odżegnywu-
jąc się potem dumnie od całego deszczu orderów. Gdy
inni straszną jesienią, po półrocznym boju i marszu, le-
gli w mokrych okopach, ale przy Wodzu swym, i żyli
z nim pod Koszyszczami zapanbrat, tyś był rzucony,
poprzez złamane kolano Styru, śmierci w gardło, na
Kukle, Jabłonkę, Kamieniuchę, i zgrabiałą, krwawą ręką
pchałeś Rosjan, gdy już nawet Niemcom tchu zabrakło
i gdzie ich piechur legł skoszony, rozwaliwszy bez-
radnie ramiona...

Tak to, największego trudu, a zatem największej
chwały pełna, była czara własnej sławy VI-go bata-
ljonu.

Zasługi Lisa w tym bataljonie, jego macierzy-
stym?

Wszystko, co tylko zmieścić, co tylko unieść mo-
że i objąć dumna cześć oficera nieustraszonego we
frontowem dowództwie i w służbie frontowej... Wszyst-
ko także, co złożyć się może na zasługę oficera armji
ciągle kuszanej, ciągle mamionej, ciągle prowadzonej
przez wroga podstępem ku wyłamaniu z ram honoru...

Lis-Kula odznaczył się świetnie podczas szturmu
pod Krzywopłotami, jako dowódca kompanji, wzbudził
powszechny zachwyty w roku 1915 w bitwach pod Wsza-
chowem i Żernikami. Tego samego roku na Wołyniu,

właśnie w najcięższej chwili, gdy się inni już wykru-
szyli, wymarnowali, prowadził pułk i dokonał, sławą
się okrywając ogromną, nieprawdopodobnych szturmów
na Jabłonkę, Kukle i Kamieniuchę.

Po walkach tych pojechał porucznik Lis-Kula do
kraju na uczniowski urlop, — zdawać maturę.

Należy ciągle pamiętać, że ten mąż bojowy, nie-
ulekły, że ten Warneńczyk nieugięty — podług lat swych
ilości, tak pięknie ku sławie wstępujących, był chło-
pięciem zaledwie. Czasy wolne, przez które wojsko sta-
ło na leżach lub na odpoczynkach, najchętniej spędzał
na zabawach, na grach sportowych i najulubieńszej —
w piłkę nożną. Wtedy ustawało wszystko: i to że jest
wojna, i że jakieś szarże są, i że jakieś niepodległości
wygnane pokutują za bramą złych Narodów... Wtedy
wśród szumiącego lasu Wołynia, w czworoboku, usta-
wionym z osiedziałych wojaków, pod przekornym pa-
tronatem Komendanta, za piłką, jak głośna kula radości,
wyskakująca z pod nóg, w gromadzie towarzyszy, kolo-
rami drużyny kratkowanych — pierwszy gnał Lis. A cała
piechota, przeciwko artylerji grająca, w niezachwianej
ufności do długich giczałów Lisa, krzyczała, chcąc przy-
śpieszyć zwycięstwo: — Lis — vor! vor! vor! — Lis —
szpurt!

Więc Lis brał tym jednym lisim „szpurtem“, gdy
tymczasem z ukośnego nieba lotnicy rosyjscy ciskali
bomby na boisko.

Tak grało się ostatni raz przed bitwą pod Ko-
stiuchnowką, w której znów Lis stanął między pierwszy-
mi, choć pierwszeństwo w tej bitwie okupić trzeba by-
ło cnotą nieomal nadprzyrodzoną.

O bojach arjergardy, które tam prowadził, opowiadali żołnierze po bitwie z wrzaskiem zachwytu. Jak ich, już nieprzytomnych od straszliwego ognia ciężkiej artylerji, trawionych pragnieniem, przeżartych dymem, omdlałych z głodu, zbierał... Jak ich za pozycjami, przed Laskiem Saperskim wyciągnął w linję i jak na dziesięć kroków w ciężką masę rosyjskiej piechoty spokojnie sypał salwami.

Po tej bitwie, w czas jakiś, Legjony ściągnięte zostały do kraju, a Niemcy i Austriacy rozpoczęli o niegrę hazardowną. Ten, tamten i ów, wszyscy potentanci, którzy do tej gry zasiedli, potworzyli specjalne mądrości, mocą których miał żołnierz legjonowy na pasek iść...

Wyglądało wtedy, jakby honor wojskowy był jakąś zabawką czy gonitwą z zawiązanymi oczyma w ciuciubabkę. Z przeróżnych stron dokładano do tego jeszcze rozmaitych mocnych przypraw, niby, że tego żąda kraj, a owego kraj nie zniesie, a tamto znów szkodzi mu bardzo...

W przeprowadkach tych i gadaniach ogromnych a niebezpiecznych, Lis trzymał się, jak mało kto. Napróžno wszelkie krasno-mędrki łuskały słowa najpodstępniejsze. Kapitan Lis znał wagę rzeczy, przedziwnie ją rozstrzygał młodziutkim swym umysłem i głos jego zawsze ku dobremu ciążył.

Aż wreszcie pękły Legjony. Jedni poszli za drutami Szczypiorna w gorzkim poniżeniu dawać codzienne świadectwo prawdzie, drudzy, jak towar gruby, w wagonach upakowani, odesłani zostali do fortecy przemyskiej, pod czujne oko Niemców, Czechów, Madziarów i Rusinów.

I tu, w tym czasie ciągłego obrzydzenia, dreszczu, zgrozy, gdy koła posłów zasiadały w Krakowie, ale mąż się tam czynił w naradzie, a żołnierz polski równocześnie tłukł łbem o ścianę austriackich werków, gdy się rozpełzał po wzgórzach i już miarkował miejsca, z których rzuci się na miasto, by wszystko pograżyć w krwi swojej zrozpaczonej — tu, w tym czasie odpraw ponurych, warczących, niesamowitych — był Lis, jako gałązka oliwna, nad przepaścią spustoszenia kwitnąca.

Tyle w nim było serca, rozumu i spokoju.

Tutaj więc okazało się już na pewno, że rękę tego rycerskiego młodzieńca porusza stałość męża i rzadka, niebywała cnota wodza.

Od wpędzenia resztek żołnierzy Piłsudskiego w ciemne szeregi austriackiej armji zaczyna się wielkie i piękne Lisa pielgrzymstwo.

Ja dziś kilkoma słowy zaledwie sprawy tej dotykam, ale kiedyś szeroko to powinno być dane na piśmie, aby się dowiedzieli wszyscy najdowodniej, jak pięknymi w pielgrzymstwie tem zakwitnął sprawami, jak go nic nie zwiódło z wybornego posłuszeństwa, jak chwili żadnej nie dał darmo przepłynąć, jak cudnie prowadził cały ten huf młodości polskiej, jak, w tej bolesnej żołnierstwa bezdomnego przygodzie, najpierwszy między pierwszymi słynął, dobrawszy się robotą swą nieustraszoną do skarbów wiecznej zasługi.

To on wtedy przecie był wyręczeniem i prawą ręką generała Śmigłego. On, jeszcze w odznakach sławnego oficera polskiego, przywiódł zastęp zrzuconych z urzędu oficerów legjonowych do 12-ej dywizji austriackiej i zdał tam siebie wraz z nimi więzom austriackiego rozkazu.

Tego może już dziś nie rozumiesz, ty, którego służba tak prosto jest przepisana, jak zdrowemu jądło. Ale wówczas spokojność słabego Narodu wymagała poddania się, a tylko niewiedomo było, jak to poddanie ma przełknąć honor żołnierski?...

Ale to Lisowi było wiadomo... Zaszczytne odznaki żołnierza polskiego spruł, przeobkleł się z łatwością w austriackie wory, jajeczniczkę feldwebela przylepił na kołnierz i dał przykład innym, jak trzeba pokazać przesładowcy swój honor, a jak potem, czasu nie tracąc, odejść należy do własnej roboty... Przeszedłszy przy froncie włoskim szkołę w bataljonie szturmowym, (bo wogóle wiele się uczył i w dziedzinie wiedzy wojskowej do powag mógł się zaliczać), ruszył na front. Wziął tu udział w bitwie pod Cordellazzo, gdzie prowadził, ku zachwytowi samych Włochów, przez niego obleganych, szturm na blokhauzy. Tu został ranny granatem ręcznym w wielu miejscach swego ciała i na leżeniu wrócił do kraju.

Leczenia tego było na bardzo krótko. Z niezamkniętymi jeszcze ranami, poderwał się zaraz do wielkiej, zdawało się, beznadziejnej roboty peowiackiej na wschodzie. Skoro już w kraju ani miejsca pewnego, ani tchu, ani pary — jechać zagranicę, z rozbitków odsiecz zbierać, z odsieczą do kraju pędzić — umyślił.

Tak, jak to jest zapisane w ewangeljach niewoli polskiej od stu lat.

Biegł na Ukrainę, na wschód, ciągniony sprawą tworzenia się tam sił polskich. Głośno już wtedy było, że się w okolicach Bobrujska wojsko nasze ściga i osadza. Żywa wiadomość szła, że docna rozlatuje się moc rosyjska, a jakżeby to miało być, żeby się przy

tem rozleceniu nie znalazł chłopiec polski, któryby zaraz broń pozbiarał, dobytek wojenny zładził... A jakżeby to miało być, żeby się tam nie znalazł zaraz ten, który jak prędką, nieomylną pomstą za grzechem, z mieczem za prześladowcą Ojczyzny stale chodził.

Wybrał się tam Lis samotrzeć, z Miedzińskim i z Schaetzlem, w początkach lutego. Przydarzyło się im, jak zawsze nieomal w tych czasach, gdy się wrogi nasze wzajem z sobą żarły, to jest, że się wdali pomiędzy trzy ściany ruchome...

Od Brześcia walili Niemcy, od Zbaraża sypały Austriacy, gdzieś z przodu chwiała się rosyjska ściana. A nasi wobec [tego wszystkiego, wobec trzech bałwanów wzdębionych — niby czółenka małe, prędko naprzelaj.

Wyszli o 6 rano, w charakterze chemików wojskowych, szukać zmyślnego „Feldlaboratorium“ Nr. 41. Minęli „posty“ niemieckie, dotarli do Zbaraża, meldując się tu u dzielnych bernardynów na umówione słowo „ul“.

Stąd, w list zacnego gwardjana zaopatrzeni — do Sieniawy.

A Niemcy wciąż walą od zachodu, a Austriacy wciąż sypią od południa...

Naszym jedno tylko w głowie — maszerować tak prędko, aby doścignąć wysuwające się armje i hycnąć na tamtą stronę, tam jajeczniczkę feldfeblowską z kołnierzy zrzucić — i szukać swoich. Ale nasi ani map nie mają, ani odzieży odpowiedzialnej, ani wypoczynku, ani swobody poruszeń...

Idą.

Pod Wiśniowcem drogi rozstajne widzą... Brać się w lewo na wschód — to już miną słupy graniczne dawnego kordonu. Tylko — za widno jeszcze, a już wszędzie i wsie, i drogi zajęte, warty stoją, chrząkają, nosami ciągną, czuwają...

Wtedy przywarowali w okopie, w dawnym okopie wielkiej wojny. Śnieg białymi batami wciąż zacina, a tu, niczem zając w brózdzie, w brózdach tego pługa strasznej wojny, siedzi trzech polskich oficerów byłych, teraz oto dziadów, niewiadomego szeregu szukających...

I cieszą się, że tak szczęśliwie przycupli.

Przychodzi ciężka noc tego lutego miesiąca... Gdzie iść?... Żadnymi drogami, mimo żadnych domów, daleko od wsi każdej, stroniąc od wszystkich głosów i wszelakiego życia ludzkiego, bo wszystko ono — jest twój wróg...

A Lis w najlepszym humorze powiada: — Iść na przełaj, według gwiazd!...

Więc idą według gwiazd, ziemia zwierchu zmarznięta, wewnątrz błoto stopy w siebie wsysa i tu, i tam, i owdzie blaski się pokazują pistoletów świetlnych, aż oto znów stanęli przed słupami granicznymi...

Kołowanie, błędzenie — jakby już z tych słupów wyjścia miało nigdy nie być...

Nareszcie szczęście się im przychyliło, wybrnęli, po drodze ubiór zamienili i potem parli naprzód wśród żywych okrucich polskiego życia, ściągającego się w tem rozbiciu — przez Płoskirów, Chmielnik...

Tu serce Lisa, w Chmielniku, otwarło się i uniosło niewypowiedzianą radością, tu bowiem spotkał zapuszczony w morze bolszewickie oddział jakichś uła-

nów polskich, a było to pierwsze wojsko polskie, jakie od czasów kieleckich znów ujrzał zbrojne i regularne, w żadnym „Verbandzie“ z obcą siłą nie będące.

Lis sunął naprzód przez Chmielnik, Winniki, Jam-pol. Kołotali się we trzech z Miedzińskim i Schaetzlem na biedzie dwukołowej, w ślepaki zaprzężonej, bogaci w krzyneń chleba i trochę cukru. Tylko że społeczeństwo wszędzie tu czego innego chce, niż ci mu wiozą...

Lis im wiezie walkę na śmierć z „centralnemi“, a ci tu ręce do góry wznoszą i powiadają, niech przyjdzie djabeł, czort, byle się już od bolszewików odżegnać... A owi znów słyszeli coś, co się rok temu działo, a dziś już łupiną jest — i mielą tę łupinę, i żują, i wypluć za nie nie chcą... A tamci jeszcze gdzie indziej ciągną i przeciągają sobie wielki kredyt Lisa, w Piłsudskim ufundowany, jedni w prawo, drudzy w lewo.

Lis się świadczy więzieniem Naczelnika. Mówi w Odesie, żeby się teraz za robotę brać, kupić grosze, ciuć bronię, nogę „Centralnym“ podstawić, potem ze wschodu do domu z siłą wracać. Kraj powstanie od frontu, a my stąd wroga od tyłu...

Nikt nie słucha.

Potem zjawił się ze swą robotą w Bobrujsku.

Wielkie twierdze, wielkie zapasy, wielkie wojska — a tu zjechało pocichu coś ogolonego, oberwanego, długiego — to nasz Lisek!! W za krótkim, szarem ubranku, tak wytartem, że na świat patrzeć można było przez nie swobodnie, w szarej, zatłuszczonej cyklistówce, ni-by Anglik i „globtrotter“ nieszczęśliwej naszej wolności komiwojażer...

Przystąpił za jakiegoś urzędnika: rano jest komisarzem cywilnym, po południu za sklepikiem w alkowie otwiera swój „urząd“ peowiacki. I zaraz ściągają, się z najdzikszych końców świata, różne oberwane sportsmany, w samym zaś korpusie lepi się co mocniejsza grudka do grudki...

Na wieść o rozbiciu korpusu Hallera, Lis zrzuca przebranie, melduje się u generała Dowbora i znowu jest w mundurze. To on ma przygotować tę pierwszą pięść, która stąd na Niemców spadnie. Młodziutki ten oficer, we wszystkich trybach wojny wygięty i wydoskonalony, rozpoczyna ćwiczenia legji rycerskiej, na wielkiem błoniu za kutajskimi koszarami twierdzy bobrujskiej. Zapewne ze wszystkich nich był tam najmłodszy, ale któryż inny tyle miał w pracy rozmysłu, tyle w sobie stałości, z prawdą połączonej, i tyle sławy, tak godnie nabytej.

Tymczasem jakgdyby się lato rozpoczynało, czy też wiosna kończyła przedwcześnie, stara, pełna suchych oddechów, żaru i kurzu, a jakby razem ze żmudą dziwnej pory szły zewsząd ciężkie chmury przejrzałych postanowień i chmury gradowe wojsk niemieckich, pierścień dokoła korpusu polskiego zacieśniających...

O zmroku, w przeddzień, nieszczęścia zaroilo się w ogrodzie pod jabłonią, przed domkiem Lisa... Zeszło się znów tych kilkudziesięciu, w rozmaitych mundurach, z rozmaitych broni... Tych kilkudziesięciu, którzy coraz, coraz zjawiają się w Polsce, jako konfederaci, jako podchorążowie, jako demonstranci, czy uczniowie z Cuneo, jako peowiaczy — polscy powstańcy... Wyznaczony już był plan walki i uderzenia, a potem,

aby jeśli ulegać — z honorem ulec — wysadzenie fortu Wilhelma z 20,000 pudów piroksyliny.

Przewaliła się ta noc, okrutnie umajona samobójstwem oficera Gelniewskiego, który broni złożyć nie chciał, a posłuszeństwa wymówić nie mógł. Przewaliła się ta noc, w której tak wiele było po jednej stronie — cały przecie prawie korpus polski... A tak malutko po stronie Lisa...

Jakby po jednej była moc Goljata, a po drugiej śmiałość Dawida — gotowe do zapasów wiekopomych.

Niemcy zawładnęli korpusem, a Lis ani na sekundę ducha nie stracił. Rzekłbyś, nic się nie stało, wydarzenie zdarzyło się małoważne... Miał ten wódz młodociany nieustającą w sobie łaskę poczynania pracy i planu. Polska zaś w sercu jego nie składała się ani z korpusu, ani z korpusów, ani z wojska, ani z przegranej, ani z wygranej — ale tylko z ciągłej pracy życia...

Kazał swoim natychmiast przedzierać się do Kijowa.

I znów ruszyli, naprzecią, daleko od siedzib wszystkich — według gwiazd.

W Kijowie była wtedy Sodoma, Gomora i Babilon. Całe tłumy różnych szalonych ministerjów, sztaby morskie, osiadłe na mieliźnie miejskiej, zwarjowane mundury najdziwniejszych rozbitków, a ponad wszystkim żelazne wojsko niemieckie, kłamliwemi świstkami głoszące temu miastu złej nadziei, że Niemcy już wkroczyli do Tyflisu...

Otóż tu, w tem nowem gnieździe żelaznego wroga, jak czerw w ukryciu, załagał się Lis z tajemną swą ro-

botą. On pierwszy nawiązał tu rzecz z przedstawicielem Francji i koalicji, świadcząc się siłą polskiego gniewu i buntu. On tu najlepiej i najprościej zganiać znów jął w gromadę wszystkich żołnierzy — tułaczów, wiążąc pracowicie twarde guzy szerokiej sieci peowiackiej.

On pierwszy jął odrywać a potem tłuc, a potem rwać żelazne ścięgna połączeń kolejowych niemieckich, że raz wraz, gdy zdyszane korpusy niemieckie chciały biec na ratunek Hindenburga — coś się w przekładniach drogi żelaznej psuło, gmatwało, ogień kruszył mosty na charkowskiej linii, na korosteńskiej, berdyczowskiej, między Fastowem, a Białącerkwią, nawet na samym dworcu w Kijowie.

To nieugięty duch Lisa, to wzbity ku górze płomień jego myśli rwał te przęsła połączeń i dróg!

Szare wywłoki ze zmiażdżonych niedawno przez Niemców polskich wojsk, zdziczałe leguny, obieźsasy, peowiackie i „sympatyckie“ cywile znów się znalazły w niezawodnych rękach. Lis lawirował nieustannie. Tropiony i ścigany, prznosił Naczelną Komendę z miejsca na miejsce, aż wreszcie na plażę, skąd, niby słońca i wywczasów na piaseczku zażywający — dowodził całą akcją.

Bieda straszliwa, w której się to całe wojsko tak dzielnie prowadziło, nie przeszkadzała Lisowi umiejętnie dociągać swego wielkiego planu. Łączył się tedy skwapliwie z krajem i dowódcą swym, Śmigłym. Wiedział, że lada godzinę kraj wybuchnie. Podsuwał przeto, jak mógł, a zawsze niestrudzenie, materiał wojenny coraz bliżej od wschodu ku zachodowi, przygotowywał też i ściągał ku tym stronom oddziały partyzanckie. Rów-

nocześnie przenikał znakomicie między Polaków, rozrzuconych pośród wojska austriackiego. Już nawet pod Winnicą trzymał dla swych żołnierzy ukrycie przygotowane. Mieli tu bowiem, rzekomo dla wyrębu lasu, siedzieć, jako robotnicy.

Tymczasem państwa „środka“ zawały się jeszcze wcześniej, niż przypuszczano, każda chwila była droga, czas roboty głośniami pięściami walił do drzwi.

Już się gotują... Pułkownik Rybicki pójdzie dawną granicą galicyjską, między Płoskirowem a Podwołoczyskami, Lis zaś na leniwych, gnuśnych rozłogach wzgórz koło Radziwiłłowa wyczyni dywersję...

Róbże dywersję, gdy ci cały pociąg z bronią w nieprzewidziane ręce Ukraińców wpadnie!.. Róbże dywersję, gdy ci się zwarzyły ostatnie twe nadzieje i na żadną broń liczyć nie możesz, bo się Niemcy z Austriakami w Radziwiłłowie pożarli, wszystkie „wachy“ się pokiełbasiły, i tyle tylko mieć możesz, co w nocy pośród rozgardjaszu przykradniesz...

Jakże tu w piersi Lisa, ze szczupłą garścią od Radziwiłłowa ku Brodom idącego, pokutować musiały te hasła, z których tyle wydał podczas pielgrzymstwa swego od Zbaraża, tylim światem, aż do Odesy!..

Dnia 11 października 1918 roku, nakazał koncentrację swych chudych plutoników w lasach pod Klekotowem. Tutaj gryzł się i szarpał parę dni z nadzorem niemieckim, z przewagą ukraińską, z bałaganem austriackim. Z jednych lasów przechodził do drugich, układając wciąż plan zajęcia Brodów. Zmuszony do walki, wystrzelał całą amunicję, potem rannych odstawił, a żeby jeńca jakiego oddał ze swoich, mowy nawet nie było. Potem z tej całej burzy ogromnej ów mały od-

dział, takim znojem uciulany i takim męstwem ocalony, puszczał cichutko, żołnierza za żołnierzem, pojedynczo, napowrót, żeby się przez Równo przedzierali ku Królestwu i tam do walki stawali. Z ludzi tych powstał szturmowy bataljon Lisa, bataljon najlepszych tygrysów, którym w kilka miesięcy później los wojny na śmierć do wódce patrzeć kazał.

W samych Brodach, tem brzydkiem mieście, gdzie ślad dawnej powagi licha nowizna na każdym kroku trawi, gdzieś przy cukierni, czy pod figurą składkowego Mickiewicza, których to figur tyle mają nasze wschodnie miasta na każdym kroku — został wzięty przez Ukraińców.

I wtedy dziwna się rzecz zaczęła... Różne końce Polski zawołały i z wymianą do Ukraińców zgłosiły się o tego niezwykłego żołnierza. A ci nie wiedzieli zgoła i rozeznac zrazu nie mogli, o kogo jest to wołanie... Jedni bowiem z naszych żądali Lisa-Kulę, drudzy Jeleńskiego, trzeci, którzy z kijowskich byli szeregow, Czajkowskiego, inni znowu, cywile z pod Bobrujska, Malewskiego, a ostatni jeszcze, żołnierze z korpusu I-go — kapitana Kortyna. Wtedy dopiero najaw wypłynęły wszystkie nazwiska, pod którymi pracował każde z nich świetnem już i znanem uczynione, tak bardzo, że każde wielką zasługą całe jedno życie uwiecznić zdolne...

Echem radosnem zatrzęsło się młode wojsko polskie na wieść, że Lis wrócił, że u Komendanta już się meldował, że idzie znów do ognia...

Poszedł zaraz do ciężkich walk, jakie w zimie z 1918 na 1919 rok toczył generał Śmigły pod Kowlem i nad Styrem. Lis-Kula, wnet majorem mianowany, bił

się w wielu bitwach. On wziął Uhnów, Poryck i zaraz siedem armat i trzydzieści karabinów maszynowych, i zaraz kupy jeńców.

Mówili koledzy, że dziwnie mu się tu jego długie nogi przydawały. Radzili też, iż, jeśli się da kiedy zranić, aby wybierał ranę w nogi, bo nic nie zaszkodzi, jeśli sobie nożyska ogromne przykróci.

Któż mógł wtedy myśleć, że sama śmierć taką mu ranę wybierze?!...

Koledzy przekomarzali się, że do tych swoich pedałów ogromnych sposób wojowania przykroił, które polegało na tem, iż daleko na tyły nieprzyjacielskie zachodził i, gdy wróg ku przodowi się skupiał i wysiłał, Lis mu wypadem szalonym dalekie arterje przecinał i tak całego gnębił.

Właśnie w jednej z takich bitew śmiałych, nocą, przez grząskie moczary, daleko pod miasto Torczyn zaniezionej — zginął. Bił się tu w niespełna stu ludzi przeciw dwom pułkom piechoty, 15 karabinom maszynowym i baterjom.

Już zwyciężał! Koło pierwszej w nocy wdarł się był już do miasta. Już nawet armaty nieprzyjaciela za sobą pozostawił!...

Biegł dalej! Natoczyli mu się po drodze trzej żołnierze ukraińscy. Dwóch z miejsca położył, trzeci, na bliską odległość, trafił majora powyżej pachwiny, przerywając tętnicę.

Broczącego obficie krwią, przenieśli żołnierze oddani, wśród ciągłej walki, rozgłośnych salw i wichru, i srogiej ciemności, do miejsca opatrunkowego.

Tu udzielono mu lekarskiej pomocy. Major, którego akurat w tym czasie Wódz Naczelny w Warszawie

na podpułkownika wynosił — major nie wiedział, że umiera. Pragnął żyć — kazał sobie trzymać ręce do góry, by krew pilnie napływała do słabnącego serca... Już prawie nie mógł mówić. I oto z rękami, które tak zawsze z przykrótkich rękawów we świat się rwały — teraz ku blademu świtowi wzniesionymi — zataczało się czas jakiś istnienie podpułkownika, pomiędzy życiem a śmiercią.

Gdy już krew jego dłoni walecznych wspomóc serca nie nadążyła, zgasł nad ranem, skarżąc się jeno boleśnie na brak tchu.

Tak odprawił podpułkownik Leopold Lis-Kula pierwszy wiek młodości i, nie przybiwszy do bezpiecznego brzegu spokojnych lat, tak wszystko marzenie tego żołnierza wypisało się w krwi upływie.

A już zaraz jutro, pojutrze, prędkiem skrzydłem złej wieści dmuchnęła żałoba po wszystkich naszych wojskach. Kulił się i mroczył, gdzie kto stał, na froncie, czy w koszarach. Bo przecież stała się straszna rzecz... Zaryło się w ziemię coś, co tak szcodrze rośnie pod niebo samol...

Dnia 13 marca 1919 r., na placu Saskim, jeszcze po raz ostatni miało słońce wiosenne objąć zwłoki tego żołnierza i ostatni raz mieli tu do nich przemówić towarzysze broni.

Czworobok doborowej piechoty stał murem i innych wojsk oddziały. Trumna tonęła w kwiatach, zaś na niezliczonych wstęgach pułki, dywizje, korpusy, bronie i zakłady wojenne wypisały najśłodsze i najdumniejsze słowa pożegnania, jakby wszyscy chcieli potwierdzić, że wdzięczna pamięć jest zaiste plastrzem wiecznej nieśmiertelności...

W głosie podniesionym napisów wszystkich, które u stóp tej śmierci, tak przedwczesnej, kładli ludzie po wielekroć niezwycześni, najprostszym i najrzewniejszym tonem rozlegał się napis Wodza, przez jedwabiste barwy Ojczyzny wypisany:

Memu dzielnemu chłopcu — Józef Piłsudski

I tak ponieśli trumnę stąd, w słowach mowy i w dymach salw, i we wszystkich wstęgach otuloną, a potem ją dalej wieźli do ziemi rzeszowskiej, z której, tak jak wyszedł, mając blaszkę Piłsudskiego na czapce, tak teraz wracał z tą samą wciąż podobizną Wodza, wszystkimi kulami wojny światowej oświstaną — na trumnie.

Nic zapobiec nie może tym żalom, które śmierć Lisa wznieciła, lecz może złagodzić je zdoła, iż w wolności, którą oddychamy, tętni krew tego bohatera...

Że we wiosnie, która przed życiem naszym jest roz warta, u wrót zdobytych, właśnie przoduje ten duch, ów duch niewyczerpany i świeży — jako majowy deszcz.

DO KONTRATAKU

Jeszcze wczoraj, w łoskocie strzelaniny, na tej stacji Malin...

Jeszcze wczoraj z wieczora: pół ciemne izby dworca stoją w drzeniu wiosennych drzew, opodal słowik zanosi się, a sale huczą od strzałów, przeciąg ogonem kurzu po kamiennej podłodze zamiata — kupę śmieci ciska na strzał.

Jeszcze wczoraj w południe...

Jeszcze wczoraj w walecznej czerwieni wieczoru...

Jeszcze wczoraj w gwiazdzistej nocy...

Jeszcze wczoraj tu stał, tu się krwawił i bił...

Orlicz i on, major Radziwiłł, na dwóch strzaskanych skrzydłach — dwa Hektory...

Po żołnierskiej, siwiejącej głowie majora Radziwiła chodziło zapewne, błyskało silniej, niż strzały, od pięciu smoków pancernych idące — to jedno: — Czy tamci wytrzymają?... Tam — tam, na prawem skrzydle...

Prześliczna pewnośc odpowiadała majorowi przy każdym nowym skoku ognia i w każdym wrzasku salw: — Nie bój się, nie bój o nich — o prawe skrzydło. To stare szwoleżery... Czy w dwa, czy w pół szwadronu... Żeby ich śmierć za biodra już łapała — wytrzymają.

Na zagrożonych skrzydłach — dwa Hektory...

Więc miotał się major Radziwiłł w opłótkach stacyjnych i szarpał się, doświadczoną dłonią sprzęgając swych rekrutów niepewnych...

Jeszcze wczoraj bój stąd prowadził... Tu zapewne wieczorem, w tej poczekalni stacyjnej, na teatr propagandy przemienionej, pomiędzy czarnymi kulisami warjactwa, wśród pstrych plakatów, wśród tego duru plamistego — odbierał meldunki łączników...

Na ścianach i na pułapie malowane pięście rewolucji podnosiły się ku niemu, a w błyskawicach ognia chygotały raz wraz spróchniałe szczęki sceny, mieląc w nagłej jasności czarne ziarno drukowanych słów.

A to ci dopiero groźba... Smród kulis, heca odezw, ciemna studzienka suflerskiego podszeptu — całe to przedstawienie...

Kończyć — kończyć już z tem, panie majorze...

On — który od dzieciństwa tyle się tulał po obcych służbach — pruskich, ruskich, a potem, przygarnięty rozkazem, wpłynął na wielkie morze polskiej służby — onby tu miał nie wytrwać?!

Chociaż mu się rekruty w palcach kruszyły, ginęły z rąk...

Tu pewno czekał przed rozwartą czeluścią tej sceny, niby w samej prawie paszczy.. A tu, w tej drugiej sali, koło wrót, pod ladą znajdował ich niepewnych, przed blaskiem księżyca przyczajonych — rekrutów...

I tu, zapewne, właśnie on, junkier hanowerskiej szkoły wojennej, zabijaka z wojny japońskiej, nieustraszony kozak batalji karpackiej, pyszny zdobywca Ejszyszek, dyplomata, adjutant Wodza Naczelnego, magnat, ordynat, księżę Świętego Cesarstwa, władacz wielu ziem, lasów, pieniędzy, ach, mocny Boże! — moczona

w ptasim mleku branza książęca... Dziś tu, jak pies rozżarty, jak kundys wierny, na progu stacyjki Malin — ochryplę gardłem krzyczał: — Wstyd! To wstyd żołnierze! Nie chować się! Naprzód!

Ogrodził ich swem ciałem, wszystką krwią ich ożywił — bo w takiej chwili oficer sercem swem obuć musi stopy żołnierzy. I powiódł ich jeszcze raz do kontrataku.

Do kontrataku!!

Tu padł, raniony w biodro.

Co znaczy w takiej chwili paść, jak w sieć, w bolesną niemożliwość wszelkiego ruchu... Wlec za sobą krwawy gną i teraz, i teraz dopiero śmiać się pobłażliwie do wszystkich minionych bitew nad Jalu, Laojanem, Portem Artura, pod Duklą, Bzurą, Rawką, Pilicą... I pytać wszystkich kul minionych tyle razy, i wołać całą duszą ku czarnemu niebu... I wołać do swej armji rodzonej, która walczy... I posłusznie pytać Wodza Naczelnego, którego słowa jeszcze w uszach tętnią...

Rozkazy, rozkazy — żelazne skrzydła boju...

Nieśli go — przyczem zemdłał... Pomyśleli, że zabity, i tak go zostawili.

Pół ciemne izby dworca stoją w drzeniu wiosennych drzew, opodal słowik zanosi się, sale huczą od prochu i dymu, przeciąg ogonem kurzu po kamiennej podłodze chlasta — kupę śmieci ciska na strzał...

Tu, w poczekalni, na teatr przemienionej, wśród plamistego duru afiszów... Z pułapu i ze ścian pięście podnoszą się, a spróchniałe szczęki sceny kłapią, mieląc w księżycowej jasności czarne ziarno słów...

Jeszcze wczoraj tu stał — dziś leży, odkopany z ugo-

ru, z pod koślawego krzyżyka, wybrany z pomiędzy tyłu trupów, pocięty, zgruchotany straszliwie...

Nic już z niego nie widać przez małą dziurkę w sosnowej trumnie... Żołnierze chcą, żeby się coś okazało, może z tych majątków, czy z wielu domów, miasteczek, wsi, czy z książęcej wielmożności...

Przez sine powietrze szczeliny widać tylko skrwa-wiony granat żołnierskiego munduru...

Wzięli trumnę na barki i przez słońce, niby podługowatą kromę jasnego chleba, z bogatej ziemi obiecanej — ostrożnie nieśli ku pociągowi.

Tu już był wagon wysprzątnany, umieciony olchą, ochłodzony świeżą wodą i świeżą ciszą ostatniej samotności...

Potem zaś dumnie i pogodnie jechało się tym zwłokom przez całe pole walki, pod zielonym sztandarem ułamanej brzozy. A kiedy je żołnierze wynieśli, by spoczęły jeszcze raz pod niebem trudu i rycerskiego końca — akurat Trzeci Maj kroczył naprzeciw... Niezliczonym skrzydłem biało-czerwonych chorągiewek furkotał w ciasnych uliczkach... Cieszył się w dzwonieniu ocucanych kościołów...

Akurat ludzie starzy i dzieci sypali kwiaty i liście zielone na stare groby, na stare grzechy, a pod ogromnemi pałacami książąt pułkownicy ukraińscy wznosili radośnie ręce ku słońcu polskiej wolności...

SŁAWA PIERWSZEJ KADROWEJ

Od tylu lat, tyle już przeszliśmy rzek i tyle miast minęli, i tyle gór przesadzili, tyle zyskali, tyle stracili, a oto znów idziemy cicho, w żalonym zastanowieniu... Stopy nasze, zakamieniałe w tylu marszach, przymierzają się do małego bruczku Żytomierza z tak wielką pieczołowitością...

Zlataliśmy w pośpiechu wolności naprzestrzał całą Polskę — miarowym teraz stąpamy krokiem, puste i otwarte mając myśli... Bo w myślach tych pomiędzy walką i radością żałoba się nagle rozsiada... Wędrujemy spojrzeniem, jak stopy nasze, cierpliwem, po tej oto ruchomej górcie świeżego ziała, które toczy się przed nami, umajone na szczycie wielkim amuletem, zbitym ze sosnowych desek.

Tu kończy się doczesne życie jednego z najlepszych żołnierzy...

Wience kołyszają się u stóp trumny, niby kwitnące aureole...

Zacina kapuśniaczek, to znów słońce wyziera i chmury rozgarnia, właśnie, żeby się jeszcze raz wszystko sprawdzić mogło, dola z niedolą—o życiu, boju, tułactwie i pielgrzymstwie...

Idziesz więc statecznie, z boku widzisz machający rękaw sąsiada, jak tyle razy widziałeś. Oglądasz twa-

rze, które pamiętasz od wielu lat, daszkiem wojskowym ocienione, i odnajdujesz znaczące braki pośród szeregu tych twarzy, chociaż już nie wiesz, nie pamiętasz, kto tu ubył, i kogo już niema...

Żałobny marsz wydziera się z trąb zardzewiałych i opieszale kołaczę wśród murów. Mijamy parkany, mijamy domy... Wkrótce dojdziemy do rogu, gdzie na jakimś małym domku widnieje napis „Czajnaja”.

Konie, wlokące trumnę, zrównały się już z pierwszymi literami szyldu. Teraz już i my jesteśmy na tej samej linii. Aż nareszcie rozminęliśmy się... Litery znów patrzą przed siebie, my zaś dalej mijamy inny jakiś tytuł. Odprowadzamy na dworzec zwłoki kapitana Młota-Parczyńskiego.

Każdy wie, że kapitan zginąć był nie powinien, ale że zginął pod Chwastowem, gdzie się rok rocznie pół Rosji z południa na północ przesiadało i gdzie dawniej był zawsze czas na zjedzenie małoruskiego barszczu z pierożkami. Każdy wie, że zginął, kiedy już było po wszystkim, po całym boju... Bo się kapitanowi zachciało, jak zachciewa się wszystkim w walce cnotliwym oficerom, zobaczyć jeszcze sumiennie, czy wszyscy zeszli z boju...

Zobaczyć jeszcze własną śmierć...

Zginął, jak się to dzieje z natchnionymi zakonnikami piechockiej służby, przechodząc z brózdki na brózdę, między chwilą powszednią a jeszcze powszedniejszą... Zgarnięty do fartucha śmierci, jak przydrożna pokrzywa — między zmrokiem a nocą. Każdy wie, że koło takiej śmierci chodził kapitan dniem i nocą, przez wiele lat, że się już spotykali na krok, na dwa... Że się znali doskonale...

Każdy wie, że to była pielgrzymka, jakich mało jest na świecie... Pielgrzymka bohaterska w cykaninie codziennego obowiązku... Och — i że się w tym oficerze kadrowym tysiąc razy kosztowne palmy łamały, aby mogła wzrastać kaszka pożyteczna... Że to było życie, nad brzeg którego wszystek sejm i wszystkie zaszczyty mogły każdej chwili wyruszyć — by bardzo rzadkiej enocie spojrzeć w oczy...

Idziemy z pustym przeciągiem w myślach, naprzeciw lichego kapuśniaczka, zaprzątnięci oto, chociażby kalkulacją, kiedyby na kapitana Parczyńskiego wypadło majorostwo. A cała pompa pogrzebu robi się dla cywiliów — nam żadnej ulgi nie przyniesie.

Niech sobie pokosztują żołnierskiej żałoby — nikomu nie ubędzie... Nawet śmierć takiego oficera nie może być leniwa, a musi być pracowita i jeszcze do czegoś zaprzągnięta... Nawet ta śmierć pracuje, urabia propagandę, przekonywa maluczkich...

Cywile delektują się, a starsze panie płaczą, młodzież śpiewem się nasycą, a my idziemy, zmrożeni i spokojni, że do naszej sterty olbrzymiej przybywa nowy snop...

Już jesteśmy opodał dworca.

Cała pompa nie taka pierwszorzędna, jak się myślało. Trudno.. Odłączył się nagle generał Śmigły, za chwilę przyjeżdża do Żytomierza Naczelnny Wódz.

Generał Śmigły, który, cóż mówić... Znali się z Parczyńskim, jak ty się znasz z własną ręką, z własną w siebie wiarą...

Ale już jest wiadomość o przyjeździe i szlus. Generał odwała z pogrzebu, machnął niebieską kitą sa-

mochodowego dymu i koniec. A za generałem odwalić muszą różni ważni główacze.

Trudno.

Polecieli na dworzec.

Za trumną rypie szara wiara

Dygnitarze czekają na dworcu. Czekają, w kapuśniaczkę, przed kompanją honorową, zdaleka marsz żałobny praży w nich akordami.

Pociąg z Naczelnym Wodzem już zajeżdża. Komenady krzyczą, wytryskują sprężyste nad falą pieśni żałobnych. Zwykły obrzęd powitania.

Wszyscy wiemy, że Wódz wie... Gdzieś boczkim jakiejś rozmowy, malutkim kątem słowa podano mu to już. „Że nic — że właśnie pogrzeb kapitana Młota-Parczyńskiego“.

Starzy żołnierze wiedzą, jak to cenić... Nawet nie drgnęły źrenice Piłsudskiego... A przecież nazwisko kapitana spoczywa u źródeł wszystkiego poczynania wojennego. Ono przecie błyszczy w sławie dawnej Kadrowej Kompanji... Leży między najcenniejszymi kamykami u źródeł polskiej wojny i uniesienia, wywołane z szeregów młodzieży w Oleandrach, w ów wieczór najdroższy, głosem Komendanta, przez całą niedzielę tytu powstań obłożonym...

Ale inaczej nie może być... A to, że na wojnie zginie żołnierz, to jakby się ktoś na wiosnę zatrzymał dlatego, że gdzieś rozsypał się — naprzykład — kwiat jaśminu.

Wódz Naczelny nie widzi żałoby, nie słyszy, sprawa swój przegląd, jak zawsze, woła na generała Śmigłego, aby wszedł do wagonu, ładzi swe gospodarstwo wojenne, i nikt nic nie mówi w sprawie tej śmierci.

Ach nic, jednego słowa nie potrzeba — nad tem wszystkim stoi słońce Sierpnia 1914 roku, które ludzie ci wzięli w swe piersi i z którym padają, i z którym na wieki leżą w swych grobach, na polach walk, wzdłuż i wszerz swej ziemi — i ziemi, gdzie ich wiedzie ich Ojczyzna...

Nie słuchajmy zdań, które mają uroczy miąższ i które mienia się blaskiem kosztownym... Mówmy zdania proste...

Chociaż i proste zdania w tym razie są zgoła niepotrzebne... Więc może nawet zamilknąć winniśmy... Lecz milczenie rzeczy tej nie ujmie i nie spłaci... Jest ono w okazji tej tem samem, co krzyk... A krzyk jest, jak wszystko inne, a wszystko inne jest wreszcie, u swego spodu właściwego, jak każde przemijanie.

Przeto, mając w ręku ów skarb osobliwy, nie wie człowiek, jak się obrócić, zebrać i innym dać tę wiadomość, wielekroć przepełnioną... Przybliżyć stromy brzeg poświęcenia, ukazać szczyt w jedno zestrzelonych cnót, rozdać prostotę najskrytszą, wspartą na ramionach dumnej samotności i nieugiętej biedy:

Całą, na tych kresach wędrowną sprawę polskiego P. O. W...

Drogi nienazwane, przejazdy tajemne, ścieżki rozbiegnięte, komendy do gałęzi ucepione, oddziały kruszynami żyjące, ludzie z nazwisk odarci — między wrogim nożem i płomieniem tańczące litery...

P. O. W! Nigdy na cześć tej pracy nie zagrzmia działa i nigdy przed stosem krwawego rupiecia wspinałe szeregi nie przejdą w hołdzie, twarze obróciwszy

rozjaśnione ku obliczu tej zasługi... Nigdy nikt tych łez nie pozbiera, ani odmierzy wylaną krew, choćby ją mierzył obfitą czarą spotkania strasznych wojsk... I nigdy wieść włóczyniami płomiennych promieni nie sklepi się w gwiazdę sławonośną wedle sprawy, która była, jest, leży i będzie w bogactwie, w skarbcu tych poczynań.

Kto szedł drogą i już dojść nie mógł... I już potroili mu się w przekrwionych oczach płoty, drzewa, domy... I zahuczały skronie... I rozstępować się jęła pierś, a serce mdlało. Zaś mimo to szedł dalej, naprzeciw zgrozy nieodwołalnej:

Kto zbierał najwyższe poświęcenia, między tę siateczkę szlachetności, samotnemi prawie dłońmi plecioną, gdy nagle wchodziły nożyce, rwąc wszystkie nici i ścięgi. A ów, który siedział w ukryciu, oczko na oczko niszcząc, nie zestrachał się nożyc i wcale nie zniechęcony rozpoczynał robotę na nowo:

Komu już zginął swat i brat na tej straży i teraz kolej na niego, on zaś idzie ku tej kolei ostatniej:

Taka jest na tych kresach droga P. O. W...

Litery tańczące wśród nożów i płomieni...

Teraz my przyszedliśmy tu, my żelazo, my wojsko, ludzie o głowach krytych stałą, których palec wskazujący to bagnet... Których poprzedza krzyk armat, gniew kul, ziemi rozległej przerażenie... Których ładzi rozkaz ściślejszy od brzytwy i za którymi stoi cała ziemia rodzinna wszystkim, co ma...

A oni, peowiaki, stokroć poterani w bezimienności, niby z wielkich „Dziadów” wyluskwiona garść młodzieży więziennej — drepcą koło nas, zawstydzeni, olśnieni.

My zaś, odniechcenia prawie: — Więc czemu was tak mało?.. — pytamy.

— Nie było mało...

Tylko wyszarpali się na tym szańcu do ostatka. Zginęło ich tu dobrych kilkaset.

— Gdzież jest raport?..

Ten, co ma raport z tego pisać, ostatni dowódca, wczoraj przeszedł linje, jest tu w Żytomierzu.

Przyleciał do naszej menaży, a wszystko w nim bluzga jeszcze ze wzruszenia.. Patrzy zdumionemi oczami na nas, za stołem rozpartych, jak na szalony, wspinały, królewski, świetny sen...

Nikt już tam nie został w Kijowie. Wszystko się kończy — ludzie już się skończyli...

Wymienia ich wielu, wielu, niesamowicie z kryptogramów, pseudonimów, numerów — kilku dostało obłądu.. Całą tę spowiedź wziął na wycieńczone, przezrocyste ręce kapitan Koc. On jeden, on, który z browningiem, jak z wyrokiem śmierci, pielgrzymował od Polski po Petersburg, on, który na czele takich kilku tysięcy wyganiał Niemców, dla którego cała Polska jest jedną drogą szeroką...

Muzyka rżnie poodal, Koc siedzi nad pomiętym obrusem. Białą trójkąt czaszki kapitana, potarty złotym blaskiem rzadziutkich włosów, jakby się jeszcze zaostrzył... Oczu nie widać z za szkieł, które świecą jasno, stalowem, zda się, z samej głębi mózgu bijącym światłem.

A tamten, potykając się na wszystkich słowach serdecznych — zsypuje kapitanowi na podolek śmierć, mękę i szaleństwo tyłu obywateli...

Byliśmy u tego dowódcy peowiackiego gwoli onego raportu...

Noc wiosenna trzepała się cichutko w liściach starszej alei Żytomierza... Dowódca siedział w swoim pow-

stańczym cywilu, pod złotym kwadratem okna, zaprzęnięty pisaniną. Kto nie widział tych „ich” papierów, ten jeszcze nie wie, co to szyfr i tajemnica... Tu masz na kartce, jakąś niespożytą algebrą, do warjackich podniesioną potęg, wyrażone komendy, komunikacje węzły, drogi, ludzi, czyny... I z tego wynika, jak się przynosili z miejsca na miejsce, jak, swych nazwisk nie znając, rozkazywali sobie na ogromną drogę i na śmierć. Jak byli wojskiem, wbrew szykom, miejscom, bez głosu, przez wszystkie czerezwyczajki, do ostatniego człowieka.

Powiadam: — Dajże pan nazwiska tych nieznanych, a przecież wielkich żołnierzy...

— Nie — powiada — nie wszystkie... Bo jedni są lepsi, drudzy gorsi... Jedni trzymali się do ostatka, a inni nie mogli już wytrzymać... Niejeden się załamał... Będzie to wyrażone w rozkazie... W rozkazie pozostaną już tylko ci, którzy rzeczywiście...

Są tedy u nas wysokie miary i miara sławy tak ciasna, że życie można ponieść i — nic, przypadnie bez wieści, a nie przypadnie dopiero, gdy je ozdobnie złożysz...

Dowiedziałem się wiele z raportu. Oni jedni, ci peowiacy, i śmieli i chcieli tu walczyć. Oddawna, ciągle, do ostatniego człowieka, każdy świstek z kraju okupując straszną ofiarą...

Tu, w Żytomierzu, Berdyczowie i tylu innych miastach, miasteczkach, skacząc z mieszkania na mieszkanie, między ciągłym mityngiem, nieustającym afiszem, dziczą ospałą, między żydowskim sprytem i chińską trzodą, oni jedni tu byli protestujący, malutki zaczyn wspaniałego Zachodu, oddany na stracenie... Tu się rzucała ich komenda, pomiędzy domkami oficyn, po

wydeptanych kamyczkach małomiejskich, wśród matek, które we dnie wznosiły ręce do nieba, gromiąc za to szaleństwo, wieczorem zaś płakały na piersi synów, starym, świętym płaczem powstania i zachęty...

Tu gdzieś, za parę groszy, znalazł się mały zdrajca...

Była zima, aleja ta w czarne ramiona łąpała śnieg i wicher, po mieście gonił się mróz z ciemnością. A ulicami szły gromady obławy, wysłane z domu, który jest domem niewysłowionej w dziejach świata zbrodni, z domu czerezwyczajki...

I znów, jak co parę dziesiątków lat, między dwoma światami walki śmiertelnej, przez krótką chwilę dygotały tylko drzwi zamknięte, wstrząsane gromem pięści... I znów chłopcy przebiegli wśród wystrzępionych, starych empirów dzieciństwa a w otwartych zimniusięnką dłonią drzwiach stanęła znów opuszczona, niewyczerpana matka — i zbiry...

Jeszcze raz rozstawiła się scena wiekopomnej komedji i sądu... Już leżą Polacy, jak szare błoto zalegają ciasne płyty suterenu, nad którymi wznosi się kilkadziesiąt sal tajnej sprawiedliwości...

Oto leżą w dole, zrzuceni na kupe, jak sztuki, w ciemności i zaduchu, żywieni ni to szczenięta, w czarnym pierścieniu epidemji nieoglądający nawet gwiazd. Już znowu szepcą najcichszym głosem jeden do drugiego, pełzając po omacku... Na badanie zaś po dawnemu idą późną nocą, od którego badania wracają z twarzami w wielkich łątach krwi i w kwiatach sińców, z licami żyłkowanymi odciskiem rewolwerowej kolby...

I oto, jak co parę dziesiątków lat, na tem klepisku znów wybuchają nowe źródła...

Czemuż on płacze, ten chłopak dwudziestoletni?...
Czemuż łzami polewa ręce starszego pana, którego sobie chłopcy za ojca tu obrali przygodnego — na wieki...

— Bo już nie mogłem — taka straszna męka — że wszystko powiedziałem...

Teraz zaś podrosła w tym chłopaczku przez dni ostatnie Ojczyzna, jasnością oblekając wszystko, i nie chciało się mieć w duszy żadnego kłamstwa — niech sobie prawda pocieczy równą strugą, w czyją już chce stronę...

Inni, mężniejsi, nic nie mówili, milczeli, i oto wynika, że temu, który powiedział, życie ma być obiecane...

Zbrzęknięte, węzlaste ręce starszego pana szukają w ciemności, podejmują młodziutką głowę rozplakaną na czarnej podłodze i szepce się oklepana, łaskawa nauczka, że nie można jęczeć, ani prosić, ani płakać... Że mógłbyś działać więcej, a tak, gdy zginąć wypada, zdziałasz mniej, ale trzeba przecież być mężnym!

Chłopiec, któremu życie jest obiecane, poszedł jutro przed ten sąd, z twarzą, jak papier białą, i znów się wszystkiego zaparł — co był powiedział, z prawdy obciążającej towarzyszy.

Długie bicie i straszne kopanie i bezecna poniewierka, a przeciw temu już nic — tylko „nie i nie“ rozkrwawionych warg.

Jednej nocy strzelali ich wszystkich... Raz za razem, w suterynie, w drewni, w jakimś ohydny schowanku mnogiej śmierci... Wyrok ogłaszał się łatwo, pod elektrycznym światłem czworokątnej sali sądu, na której ścianach śmierć stoi wypisana czarnymi zgłoskami propagandy...

Czy to możliwe, czy to prawda, że ten drab, Żyd Chińczyk, który nic nie rozumie, sprowadzi cię zaraz wdół, zbitego, oplwanego — synu swojej Ojczyzny?... Czy to prawda, że na wieki znikną ojciec, matka — ustaną drzewa alei żytomierskiej, pluszczące głosem powietrza, i że ustaną wszystkie drzewa świata, że gdzieś na trocinach lochu zagaśnie w sercu na wieki miłość wszelka?...

Matki czają się pod murami, nikt w mieście nie śpi, na wyświechtanych empirach co raz przysiada ktoś, komu całe wnętrze targa ogień niewysłowiony... Pod tłustym glansem portretu drepcze ktoś tak ostrożnie — by nie obudzić losu, który może jakoś tej nocy zdrzemnie się i przeoczy... Stare ręce chwytają się gratów, słowa się włączają jak dym, a w sercu cichną jęki wszystkiego żywego i wszystkiego martwego, i młodości minionej, i starości, która na progach zewsząd stawa — a teraz zostanie samotną...

Co noc od drugiej do świtu huczą tam strzały rozstrzelania.

CZERWONE WACHLARZE

Takim rzędem poszli tam w Żytomierzu... W lochu, na zmarzniętych drzazgach nar, gdzie leżeli, wniebowstąpienie duszne się między nimi uczyniło, starszemu panu, nim odeszli, złożyli o sobie ostatnie słowa...

A potem jeden za drugim — na trociny...

Turozebrałeś się z rzeczy wszystkich — synu swojej Ojczyzny...

Obdartemu, nagiemu, w jednej koszuli — strzał w ciemię i kopniak w plecy... Huk, szamotanie i tylko kręgi, pstre rozpryski, krwi wachlarze na ścianach, strup rozbitego mózgu na suficie.

A potem, jutro, pojutrze, poszli wartownicy do rodziców po zabitych, uśmiechając się, że zabici są żywi, nic im się nie stało, przewozi się ich tylko... Więc — nuże — rodziny z ostatniego się ściągają, trupom futra i troskliwą bieliznę ciepłą dają (żebyś synku nie marzył) — nie wiedzą...

Teraz kobiety — przedewszystkiem panny Kraśnickie i matka...

Wielka sztuka łatwej intrygi, serc zamieszanie, obiecanki...

Jakże to będzie matko?

Pani Kraśnicka zarzeka się, jedna córeczka w tyfusie leży tam na śmietniku, druga również tak młoda —

szesnaście, ośmnaście... Możnaż oddać i stracić, całej przyszłości tych dziewcząt napoprzek stanąć?..

I oto nagle miesza się wszystko w mózgu, w sercu, pod sztywnym światłem sądu.

— No więc, a jakże — a jakże... — Udał się nawet przy wyznaniu śmiech, jak w uprzejmym salonie... — Byłyśmy, widziałyśmy, wiedziałyśmy... — ale cóż w tem złego?..

W tem jest właśnie krwawy wachlarz na ścianie i sromotna pani matki nagość przedśmiertna, i ociężalały posag szmatek twoich, z ciebie zrzuconych, które będą jeszcze ciepłe, gdy ty żyć już nie będziesz.. Wtem jest, między twemi ostatniemi myślami o Bogu, sercu i dzieciach, kula — a w twoim boku macierzyńskim, rozoranym, kopiąca pięta oprawcy.

Poczem — na ciepłą krew matki...

Na ciepłą krew matki córka. — W kwiatach gorączki, w płomieniach tyfusu, w łzach strachu szalejącego już naga, z sukni zwłóczona, między rękami zbiorów...

Słaniająca się, do słupa przywiązana i co jeszcze, i co wszystko, i co jeszcze...

Potem druga córka, wależąca w czarnych uściskach, naga na krwawym piachu, delikatne członeczki w urągliwej przemocy, wszystek wstyd w błocie, dusza w płaczu, wachlarze z krwi na ścianach, karabiny od tłuczenia pogięte...

Panny Kraśnickie i matka w jedną chwilę nocy oddały swego ducha Ojczyźnie.

Teraz chodzimy długim korytarzem gmachu czerezwyczajki... Szukamy śladu, echa...

Sale puste patrzą na miasto obojętnym błyskiem. W biurkach rozwalonych kisną reszty papierów, ogłoszone mitynги stoją jeszcze na ścianach. W podziemiu po kątach, jak czarne, krwią przesiąknięte, pajęczyny — szarzeją nosze. A ramy ich, ich drzewo zdobi i oplata pon-sowy marmurek skrzeplizny...

W pokoiczkach kaźni, pośród brudu, siwym aksamitem pleśni obwiedzonego kału, błyszczą krwawa trocina, na ścianach straszne, czerwone wachlarze...

Musimy dojść, odnaleźć... Musimy dowiedzieć się do końca, odgrzebać i w honorze pochować.

Szukamy po cmentarzu... Nie tu wśród nagrobków, alei i ścieżek wysypanych, tylko tam, za płotem, gdzie mogą leżeć psie kości i padlina...

Znalazł się jeden, który widział i coś wie o tych paniach... Kołujemy po trawie, wśród małych górek i kopców, po ziemi roztrzęsionej przez śmierć.

Przodem idzie komisarz tego dzieła, komisarz czerwonego cmentarza... Na żółtych, wysadzonych na-przód, skułach trzepią mu się w głębi ciemne plwocin-ki spojrzenia, gęba od echa do ucha, proste wargi, ni-czem listwy pordezwiąłyłych nożyc, zwierają się...

Nikt go nie uderzył, nikt go nie tknął, ale cho-dzą za nim nasze ciężkie buty głucho po ziemi, a do jego głowy przylega szczelnie nasza nieopowiedziana pogarda.

— Zakopałeś, komisarzu, to odkop...

Bo na tym świecie wszystko dojdzie zawsze do swego miejsca i czasu...

Czekamy cierpliwie. Na bujnej murawie stoi ko-misarz i węższy... Czapka na nim rosyjska, urzędnicza,

fałdek czarnej, ściągniętej na plecach, rubachy sterczy do góry.

Kopie sobie komisarz i bada, z kilku pomocnikami.

Już w ziemię weszli po kolana, już się wkopali po pas, pot srebrem leje się im ze skroni i niby banieczkami gazu okrywa niskie czoła...

Dookoła stoją nasze ciężkie buty, a do tych twarzy schylonych, sponiewieraną ziemię jakoby żrejących pokutnie — przylega nasza wzdarda...

Już ma — już ma...

Teraz czuj, drabie!

Teraz twoja łopata musi być pogłaskaniem starannem, opieką i łagodnością... Już usypałeś zlepy i grudy ziemi, kształt się już rysuje pod czarnoziemnem gieżłem i na wagę twego komisarzkiego życia, wobec słońca, świata i ludzi, padną ciężkie trupy...

Wspólnicy za komisarzem kopią i wyciągają, co zostało z tej młodzieży...

Jakoby czerwy wielkie z ziemi wywlekali, czerwy grube i wiotkie, z rękami i nogami sznurem powiązani, czerwy o głowach spłaszczonych na miazgę...

To ów! To tamten! To ten!

Nad grobami snują się w słońcu nazwiska pobitych, które ustala się z zarysu skroni, może ze wzrostu, także ze znaków na bieliźnie... E. D. widnieje jeszcze na tej ostatniej koszuli, czy A. W. na strzępciach tych gatek śmiertelnych, w których leżą pogruchothane kości nóg.

Litery, w śmierci tańczące...

Jacyś panowie, przedstawiciele prasowi, strzepnęli ramionami, jacyś Anglicy rozkładają dłonie... Jakiś

Francuz bije rękami w powietrzu, niby pletwą, i mówi szybko, że tak, tak, o tem świat nie wie, świat nie wiedział, świat jeszcze nie rozumie, świat się dowie!...

O tem świat nie wie, nie rozumie, ale dowie się, czarne aparaciki strzykają w prawo, w lewo.

Aż stanęliśmy — jakoby nad studnią...

W głębi czarnych rozsypów, rzekłbyś — z fali gęstej, ciężkiej, wypływa ku nam i wyłania się, i odkrywa — czółno rzeźbione, muszla rozgięta, koncha tęczo-
wa — gałęzie cieliste wzajem przerośnięte, splot niewysłowiony, czułość sama fioletowym zaczynem rozkładu spojona — na skrawku ziemi panny Kraśnickie z matką...

Leżą, a rzekłbyś — płyną...

Matka podłożyła się swem ciałem pod piękne córki istoty, wychyla cień śmiertelny swego oblicza z pomiędzy stóp dziewczęcych... Córki zaś przez pół zanikły, już twarzy i piersi pod rzeźbą koszuli nie dojrzysz, tylko słońcu i rozkoszy powietrza oddaje się śmigły rzut bioder i rozbiegane, tańczące, młodocianym skokiem sprężone nogi...

A kto je widział, te panie —,zaprawdę płynąć będą w wieczność na dnie jego serca... W słońcu mienić się będą, jak muszla...

Lecą po niebie, uściskiem zrośniętych gałęzi. Obejmą wszystko, co masz, i w każdej wielkiej pracy twojej — to jest wzniosłem wspomnieniem... Na każdej ziemskiej grzędzie — łagodnem przykazaniem, a w każdej bitwie — nad wojskami — tarczą wzniosłej godności.

Teraz już mamy wnet złożyć rynsztunek. Inne nastaną czasy, sława wojenna uleży się w raportach, wystygnie i już wnet chłodne ręce Historji wertować będą pośród krwawej księgi tak przytomnie, jak dziś gorąco te dzieła liczy serce współziomków. Z ludzi zaś, z tego mrowia, które śpieszyło i dążyło na pola bitwy, pozostanie jedno wielkie, zbiorowe, uroczyste słowo, w którego brzmieniu potonęło tyle cierpień.

Wojsko Polskie!

Zarosną szybko miejsca, które rozkopaliśmy prędką łopatką piechura. Po dawnych stanowiskach bateryj przejedzie pług, a za rok dwa — w okopach, po których śmierć biegała — dzieci się będą bawiły.

Ludzie przyjdą pracować i nie będą pamiętali, ile w każdym dniu ich pogody, ile w ich coraz lepszym ładzie i w każdym ich powodzeniu, i w ciągłym przysparzaniu szczęścia jest krwi i bólu żołnierza!

Rzecz to znana i ona właśnie jest chlubą żołnierskiego uczynku: że przeminąć musi na zawsze wolny — bo nigdy przecie nie wywdzięczony.

Nie kreślę więc tych stronic, by wdzięczność obudzić w ludziach, którzy będą siali i zbierali nad zielonym Słuczem, gdzie w boju kawaleryjskim padł ś. p. podporucznik Kajetan Stefanowicz. I nie dlatego piszę

te słowa, bym naprzykład potrafił stosownie opromienić drogą pamięć kolegi. Układam stronicę w tej tylko serdecznej ambicji, aby nazwisko tego oficera podane było drogiej potomności.

Tak się bowiem mają sprawy, że zapamiętane zostaną nazwiska szlachetnych i największych: przyschły już na zawsze do barwy pułku, do liczby brygady, czy dywizji, jak żywe zgłoski dźwięczą w brzmieniu miejsc, gdzie walczone,

I mają się tak sprawy, że zapomniane zostaną nazwiska tych, którzy w palcach wojny byli, niczem mięksiz, a wojna lepiła z niego, jak tylko chciała.

Lecz ci, którzy byli pomniejsi talentem organizacji, lecz doskonali sercem wojennem, którzy szli na każde zawołanie, którzy byli wzorowi tak bardzo, iż się to ostatecznie w powszechnem mniemaniu samo przez się rozumiało? Żal przecie musi ogarnąć, że ci właśnie mieliby przemijać bez wszelkiej poznaki — z bitwy poprzez klepsydrę dziennika i łyzy najbliższej rodziny — w niepamięć.

Do takich właśnie oficerów należał podporucznik Kajetan Stefanowicz. Dobroć i siła, męstwo i łagodność, to cztery słowa, to cztery ściany wyniosłe, w których przebywała dusza tego żołnierza.

Trudno to bardzo być dobrym na wojnie, zwłaszcza, gdy rozporządza się taką siłą, jak Stefanowicz. Potrafił on wyginać w rękę podkowę. Był zbudowany jak atleta. Jego duża, kształtna głowa, pozbawiona zupełnie zarostu, obciążnięta gładką, jak atlas, skórą, spoczywała na krótkim, potężnym karku.

Twarz posiadał wschodnią (z rodu Ormianin) o dużych, czarnych oczach, kroguleczym nosie i silnych,

kształtnych wargach. Twarz tę porywało łatwo wzruszenie, a wówczas nasyczał ją różowy blask, przenikający wysokie czoło ciemnymi strugami.

Korpus jego, rozłożony niezwykle potężnie, wywoływał zawsze podziw pośród artystów, których tyłu służyło w ułanach Beliny. Istotnie — w blasku słońca muskulatura jego postaci, powleczonej brunatną skórą, grająca zmianą złoto-granatowych cieni, sprawiała wrażenie, jakiem tezną starożytne posągi bronzowych atletów, od których słońce odbija się białymi postrzałami światła.

Nadludzka siła była słabością Stefanowicza, przeistaczała się w nim w niezmierną dobroć. Iluż to kolegom dociągał popręgów, za iluż pracował, iluż najdzikszym koniom trzymał nogę do kucia, ilu ludziom dobroliwie ustępował!

Małe ustępstwa kosztują na wojnie bardzo drogo. Każde z nich — to cios wielki i srogi, zadany własnemu egoizmowi, i tak już przez trudy i prywacje nadmiernie doświadczonemu.

Na wojnie ustąpić garść siana, kwaterek owsa, to często tyle, co w cywilu darować kamienicę!

Tych kamienic, tych pałaców porozdawał w swem życiu wojennem podporucznik Stefanowicz całe mnóstwa!

Męstwo Kajetana — było męstwem zachwytu, miłości i dobroci.

Istnieje bowiem męstwo srogie, jest męstwo wyrachowane, jest męstwo żywiołowe, nie odczuwające strachu — i jest to właśnie, które tak pięknie zdobiło Kajetana.

Rozumiał przecie doskonale w chwili boju, że stawia wszystko na kartę. Namiętne ukochanie życia, marzenia artystyczne, miłość ludzi, rzeczy, gustu, barwy, kształtu. Zawsze jednak zdawało się jego pięknej naturze, że jacyś inni już i tak poszli w ten ogień, już i tak w pobliżu czegoś większego dokonali, już i tak ucierpieli tyle!

Więc szedł — zawsze z zachwytem dla tych innych, domniemanych, aby choć w części dognać ich i choć w połowie uczynkom tamtych sprostać.

Tak było we wszystkich bojach I-ej Brygady, w których Kajetan dobił się najświetniejszego stopnia, jaki miało w ostatniej historii swego tułactwa Wojsko Polskie, a mianowicie stopnia kaprała I-ej Brygady.

Dopiero później, na postojach, komendy złapały się za głowę i dały Stefanowiczowi wachmistrza.

Podchorążego dostał, gdy Polska wybuchła, podporucznika zaś w roku 1918 w walkach pod Chyrowem, Samborem i Przemyślem, gdzie, jak najsurowsi koledzy twierdzili, walczył jak lew.

W roku 1919 pierwszy wpadł do Wilna ze szwoleżerami. W mieście tem, sto razy karabinami przeszytem, na najgorszych pozycjach, wśród rozbitego bruku, ogień prowadził a zarazem piękne, męskie łań łyzy nad radością szlachtetnego miasta i niedorostków zuchwałych za portki z linii wywlekał, by się chowali, i błogosławieństwa babek wileńskich zażywał, skacząc przez strzelaninę okrutną od domu do domu, od bramy do bramy i od pamiątki ku pamiątce.

Tak też było i w wielkiej wyprawie na Kijów, gdy pierwszy stanął w Koziatynie i tylu innych miejscach po drodze, z których każde tyle mogłoby mówić o odwadze Kajetana, skromnej a niewzruszonej.

Wojaczkę Stefanowicza opromieniało szczególnym wdziękiem to właśnie, że z męstwem srogiem łączył wielkoduszną łagodność.

Widzieli wiele razy koledzy, jak w boju wręcz, przez wroga o dwa kroki strzałami zagabnięty, odpowiadał zwykłym uderzeniem kułaka. Tak było w Wilnie, tak było w Koziatynie, gdzie już stał o mały włos od śmierci.

Wynikałoby z tych wszystkich wspominek, że zginął żołnierz zawołany, i że, tak opisując nasze bolesne rozstanie z nim, dzielnego tylko żołnierza żegnam.

Najpiękniejsza jednak istota duszy Kajetana nie została tu jeszcze opowiedziana.

Szlachetną jest rzeczą spełnić obowiązek. Wszyscy to wiemy. Lecz, jeżeli ci mówili od pierwszych lat twego pamiętania: — Patrz oto twoje obowiązki — to ci zabrali połowę twojej zasługi i mają prawo dzielić się nią z tobą do połowy.

A cóż dopiero, jeżeli za czasów twojej młodości sam Piłsudski brał cię za rękę i jeśli nad tobą stał, i wszystko ci pokazywał, i sam w mundur strzelecki za ciebie pierwszy się przyodział — i tak wszystko, co było przewycięzeniem, sam ci pierwszy otwierał?!

Stefanowicz do tej młodości nie należał, pochłonięty swoim talentem i sztuką.

Ukazujemy może najpiękniejsze światło jego losów. Stefanowicz nie obwarował sobie nawet tej drogi, którą jako artysta miał przemierzyć, gdy mu tę drogę zastą-

piła Ojczyzna. Wystarczyło Jej cienia, jednego gestu, by rzucił wszystko inne.

Stefanowicz nic nie rozumie w polityce. Wstępuje w 1914 roku do Wschodniego Legjonu. Staje potem na rozdrożu i nie wie już, którądy — w prawo, czy w lewo? Jako znakomity nauczyciel rysunku, jest „enthebowany”, uwolniony z wojska.

I oto nagle gdzieś pod Krakowem spotyka ułanów z Brygady Piłsudskiego. I już odrazu przepadło wszystko, i wszystko odrazu przemienione, i wszystko jest wiadome aż do ostatka dni!

Olbrzymia wiara wybucha z tego serca, wiara, której światło potężne zalegnie na zawsze wszystkie pobudki czynu.

Ile razy wojska nasze wchodziły w okres cięższych walk, Stefanowicz, przeniesiony już do rezerwy oficerskiej, rzucał ją, śpieszył do swych szwoleżerów i potem szedł w pierwszych szeregach przez wszystkie bitwy.

Aż tego lata, wytarłszy wszystkie kąty całej Polski w wielu bojach, pod Rochaczewem, nad Słuczą, podczas rekognoskowania nieprzyjacielskich pozycji, ostatniego lata wojny, śmiertelnie trafiony w czoło, zginął.

Jeżeli nie byłoby wstyd określać wartość duszy blaskami kamieni, można powiedzieć, że dusza jego płonęła najgorętszym blaskiem najdroższych. Kajetan Stefanowicz, jak przystało na człowieka miary delikatnej i czulej, wstydził się rzeczy wielkich. Uważał, że mu więcej nie wypada niejako, i że mu się więcej nie należy, jak stać — zaledwie w cieniu Prawdy.

Dlatego, być może, nie dźwięczy jego nazwisko w potężnych czynach wojennych, choć tak dużo umiało w nich zaważyć.

Dlatego jednak teraz, na lubyh progach pokoju trzeba koniecznie zatrzymać pamięć jednego z ostatnich może oficerów legionowych, którzy jeszcze te progi krwią oblać musieli. Pamięć ta bowiem mieści w sobie najczystsze słowa.

Niechże one mówią co żywo — jak na uboczu, w najcięższych dla Polski czasach, wśród tego pokolenia, które niegdyś może Historia nazwie pokoleniem Zwycięstwa, jak na uboczu rośli ludzie, pracą poświęceń nie dotknięci, tej pracy nieświadomi zrazu. A potem — jak na sam widok, na jeden głos rzucali nagle wszystko, wzburzeni płomieniem wielkości. I jak tę samą wiarę wielekroć nowem wypełniali poświęceniem. I jak z ubóstwa swej twardej służby umieli skarby tworzyć. I jak nie wiedzieli, że, w cieniu Prawdy pozostając, są samą Prawdą najzaciejszej Powszechności.

MOGIŁY

Zapomniane po drogach grządki — to my.

Mała, garbata wyniosłość wśród zbóż — to my i nasza дума.

Wysoka fala ziemi przy gościńcu — to my, a w jednej fali morze.

Ledwie widoczne stwardnienie doliny, pod lasem, w wielki guz — to my i upór nasz.

Stare kopce na polanie, niby kopce zapomnianej granicy — to znów my.

Wyniosłe miejsce w słonecznych sadach wiejskich; w dzwoniącej ciszy urodzaju prostokąt, ogrodzony drutem kolezastym — to my.

Zrudziały znak darni, nakrzyż wyciętej — to my.

Na stoku górskim, w ogrodzie, grządka na zawsze nieuprawna, z której cierpką goryczą — technie bujna pokrzywa, to my.

Na ugorach, porytych bliznami, zebrane w jedno miejsce kamienie — to my.

I sosna, pod którą nikt nie spocznie na piaszczystym trakcie.

Jesteśmy nieustannem wybuchem polskiego męstwa, jesteśmy ciężką falą wieczności — mogiły. W nas chronią się skrwawione mundury, my skarbimy tę pleśń, z której po latach tryskają nowe błyskawice.

Zapomniane po drogach grządki rozjechał wóz.

Małe pagórki wśród zboża zaorał pług.

Wysoką falę ziemi przy gościńcu rozdeptał pilny płot.

Stare kopce po lesie ugięły się pod ściółką.

Wyniosłe miejsca w sadach spalonej wioski rozkołysały nowe łany żyta.

Na ugorach, porytych bliznami, kamienie rozeszły się z kopca.

Samotna sosna pociętem ciałem kołysze małe dzieci.

Lecz nie z przemiany tej nie pojmie, nie ukochał
I nie spostrzeże nigdy kurzu szczęścia na wiosnę, a pod
namiotem lata nie uczei urodzaju, a w twardej zimie
nie doświadczy zdrowia wieczystego — kto nie znał
sosny, pod którą nikt spoczywać nie śmie, grządek za-
pomnianych nie okrywał darniną i pagóreczków wśród
zboża nie ubijał, i ziemi przy gościńcu nie składał,
i kopców wśród lasu nie sypał, i na ugorze kamieniem
przydrożnym nie znaczył malutkich fal wieczności.

SPIS RZECZY

	Str.
Na progu	9
Pierwszy śnieg	14
Jeden z pierwszych (Eugenjusz Medyński)	18
Ostatni z Brzózków (Władysław Brzózka)	21
Z krzykiem wojny (Milko)	25
Wypróbowany żołnierz (Kuba-Bojarski)	27
Sól ziemi (Bolesław Szpunar)	30
Trzej sierżanci (Kazimierz Kamiński)	
(Kazimierz Strzelecki)	
(Henryk Dobrowolski)	33
Zależnie od kilku słów (Król-Kaszubski)	36
Kielich płomieni (Pększyc-Grudziński)	41
Zapiski porucznika Pększyca Grudzińskiego	45
Przykład męstwa i pokory (Kazimierz Piątek-Herwin)	60
Dla kompanji (Jakób Darocha)	
(Mieczysław Kwieciński)	
(Juljusz Bagniewski)	64
Srebrne sznury we krwi (Stefan Krak-Dudzieniec)	68
O każdy dom, wieś, stóg (Roman Maksymowicz-Nawrot)	70
Jak ziarno w kłosach (Jan Wojtkiewicz-Wysoki)	72
Radca prokuratorji skarbu (Dr. Adolf Sternchuss)	76
Chaber (Bronisław Mansperl)	80
Pierwszy adjutant (Roman Żuliński)	84

Nasi ułani (Tadeusz Oster-Ostrowski) (Konrad Kasprzykowski) (Adam Sałaciński) (Kazimierz Bejgrowicz)	88
Tyralljera oficerska (Jan Hajec) (Stanisław Charzewski) (Stanisław Guzowski) (Józef Janicki) (Zygmunt Karwacki) (Aleksy Nehring)	93
My chcemy Wyrwę! (Tadeusz Wyrwa-Furgalski)	99
Bez patosu (Sław-Zwierzynski)	107
Dziedzic (Aleksander Sulkiewicz)	110
Tragiczny oficer (Albin Fleszar)	115
Memu dzielnemu chłopcu (Leopold Lis-Kula)	122
Do kontrataku (Stanisław Radziwiłł)	146
Sława Pierwszej Kadrowej (Stanisław Młot-Parczyński)	150
Polskie litery (P. O. W.)	155
Czerwone wachlarze (Panie Kraśnickie)	162
W cieniu prawdy (Kajetan Stefanowicz)	167
Mogily	174



